

Z głosem bębna

— Panie, teraz pan z nimi nie pogadasz. Zajęci. Słyszysz pan? No i nie ma jak im przerwać, choćby świat się walił.

Dziadunio siedzący pod sklepem potarł smętnie purchlasty nochał, rozłożony obozem na środku pociągłej twarzy. Sklep świecił pustkami, wieś była nawet spora, ale minęły dawno czasy, kiedy jedna gminna spółdzielnia trafiała się co trzydzieści kilometrów. Teraz każda wieś ma dwa, trzy, ba – cztery dobrze zaopatrzone sklepy. Bez kolejek! I bez tej starej, swojskiej atmosfery.

— No i patrz pan, ile się ich namnożyło... Jeszcze jakieś dziesięć lat temu nazad, to kto by tam słyszał, a teraz, widzisz pan, słyszysz pan? No i powiedz pan, można to wytrzymać? Dzień w dzień, a w niedzielę to wszyscy naraz. Każdy musi te swoje bum-cyk, bum-cyk, dobrze że w nocy śpią... ta, wiem, niby normalni, pogadać można, ale panie, patrz pan, no co im tak naprawdę... pan jesteś człowiek... no jak to powiedzieć... wszechstronny, no sam pan powiedz!

— Aż tak bardzo z nimi źle? Żeby aż bić, palić, zabijać?

— Panie! Kto bił? Kto zabijał? Nikt nie zabijał! Pogonić kota mu chcieli, ot i wszystko. Trochę skórę przetrzepać, postraszyć, bo już nie dało się żyć... ja tam panie zresztą ręki na nikogo nie podniosłem, ale mówię – należało mu się!

— Ale mogliście mu zrobić krzywdę, mógł nawet zginąć...

— Zginąć? On? Bo co, bo jak zleci z tego swojego słupa, to niby co – kark skręci? Panie, przecież oni codziennie sami z tych słupów skaczą! Hop-siup-ryms-na-dziób!

— Skoczyć samemu, a zostać zepchniętym to jednak różnica. No i jak by nie patrzeć, Krzywicki wylądował w szpitalu.

— No i widzisz pan, przeżył, złego licha nie weźmie! A że mu się trochę pomachało kijem przed nosem, tyle z tego że kupa śmiechu. A że się ścięło ten jego dumny słup, że chłop poleciał na łeb, no tak, ja wiem, może to i za wiele na tego chłopinę, ale wylize się, też i teraz zmądrzeje, ja myślę...

Dzisiejsza prasówka. Jak donosi „Emisariusz Dnia”: (...) *Przedwczoraj w Zakrzewicach Hurnych mieszkańcy poturbowali sąsiada, który uporczywie zakłócał ich spokój, bębniąc w sposób doniośle słyszalny dla szerokiej okolicy. Włodzimierz K. każdego wieczora, począwszy od momentu przybrania przez zachodzące słońce wyraziście czerwonej barwy, wchodził na specjalnie zbudowane w tym celu podwyższenie (słup), po czym intensywnie grał na bębnie. Czynił to w celu osiągnięcia Muzyki Spełnienia, podobnie jak i tysiące jemu podobnych bębnistów, stowarzyszonych w Bractwie Czynnego Werbla. W Zakrzewicach owo bractwo jest stosunkowo licznie reprezentowane, jednak Włodzimierz K. wybitnie gorliwie propagował swoje brzmienie na sąsiednią okolicę, co nadwreżyło jego dobrosąsiedzkie stosunki z mieszkańcami tradycyjnie wiernymi trąbce (...)*

Siedzieliśmy przed sklepem na betonowej ławeczce. Dwie chałupy dalej stał drewniany dom Krzywickich. Nie zastałem tam nikogo, ale trawa niemiłosiernie stratowana, nosiła jeszcze ślady przedwczorajskich wydarzeń. W poprzek podwórka leżał zwalony, gruby słup zaopatrzony w małe zgrabne szczebelki służące do wspinania się na szczyt. Platforma, służąca do siedzenia, pod wpływem upadku była zupełnie strzaskana. Nie wyglądało to mimo wszystko zbyt tragicznie. Żadnych śladów ognia. Czy to możliwe, żeby tutaj zebrał się rozwścieczony tłum z pochodniami i siekierami, gotowy spalić i zarąbać obcobrzmiennego ziomka? Ktoś musiał przesadzić w opisie. Krzywicki, jak mi było wiadomo, nawet nie zawiadomił policji...

— Widzisz pan, Włodek swój chłop był, równy chłop. Trąbił nieźle, myślała matka, że on jakim sensualiuszem zostanie. Ale nie, on nie, on tak mówił, że mu się dobrze trąbi, ale nie chce przetrąbić życia

na trąbnicy. No i wyszło na to, że je teraz przebębni na słupie! Ale co się z nim matka miała, jak wziął i trąbkę rzucił, podeptał... no jak to tak być mogło...

Bardzo lubię, jak ktoś głądzi. Im głupiej, tym zabawniej. Wbrew pozorom – przysłuchiwanie się głądzeniu to przednia rozrywka. Jest u nas zresztą łatwo dostępna. Głądzić lubi tu prawie każdy, to jakaś taka nasza narodowa cecha. Głądzą i klepią jeden przez drugiego o wszystkim i o niczym, a każdy z głądzących kreuje się rzecz jasna na ogarniętego wszechwiedzą, na wcielony i ostateczny autorytet w każdej dziedzinie. Do łez potrafi mnie czasem rozbawić taki jeden chłopiec-roztropek żywiący twarde przekonanie, że na co to ludzie gazety drukują – pieniądze by wydrukowali na tym papierze, to by wtedy biedy nie było. Albo babsztyl wytykający palcami eleganckie samochody i ciskający gromy, że to powinni na biedne dzieci dać, a nie się limuzynami rozbijać. I tak dalej. Ale z głądzenia narodowego naszego wypływa jeszcze jedna, pozarozrywkowa zaleta. Nikogo nie trzeba ciągnąć zbyt mocno za język, by się dowiedzieć tego, co się wiedzieć chciało. Jak ktoś niespotykanie sznurował usta i milknął, twierdząc że niczego nie wie, był to doskonały znak, że wie aż za dobrze i że sprawa jest warta drażenia. Im więcej głądził, tym mniej wiedział, ale zawsze ów słowotok zawierał w sobie ziarno prawdy. Wystarczyło odsiać plewy, i gotowe.

Niedaleko nas był rynek. Całkiem spora wieś mogła się pochwalić bardzo okazałą echonią, stojącą w niedalekim sąsiedztwie, na wzgórzu. Sam gmach ukryty był w małym zagajniku pokrywającym wzniesienie, ale jego trąbnica majestatycznie strzelała w niebo i była widoczna z dużej odległości – dzięki niej zresztą bez problemu trafitem do wioski, ukrytej w gąszczu innych małych i jeszcze mniejszych osad. Echonia była bardzo starą budowlą, choć nie drewnianą – kamienną, obłożoną płytami piaskowca. Te płyty to była już współczesna renowacja – wewnątrz natomiast pozostało oryginalne, ze względu na rezonans. Od kiedy renowacja wewnątrz w gmachu Pantrąboniki Wielkiej zepsuła zupełnie akustykę, Echonia Trąbicka sprzeciwiła się odnawianiu jakiegokolwiek wewnątrz służącego muzyce i charakteryzującego się odpowiednim walorem. Pantrąbonikę zepsuto, gdyż wymieniono podniszczoną tkaninę sonarium, z pozoru zupełnie nieistotną dla akustyki, umieszczoną – jak mniemano – po prostu dla dekoracji bocznych wnęk, tak zwanych rewerbni. Okazało się to być wysoce brzemienne w skutkach, dźwięk przestał się nieść dyskretnie po okolicy, wymieniona tkanina okazała się nie do odtworzenia – nikt nie wiedział, w czym tkwił sekret jej dźwiękorefleksyjnej własności.

— No i tak, panie, tak jakoś jest u nas, ludziom się w uszach przewraca, dawniej to wszyscy jacyś tacy swoi byli, normalni, a teraz jeden przez drugiego bębni, trąbki zagłusza, ludzi wnerwia... no powiedz pan sam, czego im się chce?

Bębniści nie byli wcale kimś szczególnym ani nowym. Mimo to nadal na wsiach wzbudzali kontrowersje, o wiele większe niż w mieście. W dużych skupiskach ludzie znacznie łatwiej o niezależność i indywidualność. Prościej swoją odmienność ukryć w tłumie – nawet jeżeli ktoś włązi na słup w parku miejskim i bębni. Jego werbel zresztą ginie wśród hałasów ulicy, a sąsiedzi mogą sobie myśleć co chcą, bo niczego od nich się nie chce i można żyć kilkadziesiąt lat przez ścianę i nawet nie mówić „dzień dobry”. Inna rzecz na wsi. Zdecydowanie inna.

— Widzisz pan, żeby to jeszcze trąbka im nie przeszkadzała. Żeby to jakieś to było normalne, pobębni, zatrąbi, no i niech mu tam ten słup w siedzenie wrośnie, co mi tam. Ale oni, panie, wojują, z trąbką wojują! Że nie trąbić, że to złe. Jakie tam złe! I patrz pan, te dzieciśka, tych ich dzieciów mi najbardziej żal. Łazi takie jedno z drugim z bębenkiem na szyi, wali i tłucze patykiem, męczy się zamiast porządnej muzyki zakosztować. Takiej szczerzej, naszej...

Dziadek nawijał już od długiego czasu, a ja mu starałem się nie przerywać. Nie spodziewałem się odkryć w nim źródła jakichś niezwykłych informacji, jednak to co głądził mogło mi się jakoś przydać, choćby na zasadzie materiału uzupełniającego. Plotki o bębniarach bywały bardzo różne, w zasadzie znane, jednak każda nowość pod tym względem mogłaby być nawet cenną zdobyczą. Ot, czego to się na temat nielubianych, obcobrzmiennych sąsiadów nie wymyśli. Na przykład to, że przekuwają swoim dzieciom bębni w uszach, żeby gorzej słyszały i nie były w stanie grać na niczym innym, tylko na bębnie. Wierutna bzdura! Ale za to popularna i bardzo poważnie traktowana na wschodzie kraju. Niewielu obchodził fakt, że kilku znanych skrzypków – to również urodzeni bębniści. Rzadki fakt, dziwny fakt, ale jak by nie było – fakt.

— A wszystko panie zaczął Jontek Kugiel! Wrócił z Hammaryki, panie, z Trzykkago wrócił, długi spłacił, chałupę jak malowanie – pobudował, a potem widzisz go jak słup w ogrodzie stawia i cały dzień bębni. Żeby to się za jaką robotę wziął, gospodarstwo ruszył, to nie! Mówi chłop, że co ma mieć to już ma i że mu styka. Że teraz muzyka. No i dobra, ale żeby to była muzyka, a nie jakieś tam bum-bara-rumbam

rrrumbambum! Ludzie mówili mu – Jontek, co ci nagle odbiło – a on – słuchajcie werbla! Werbel wam wszystko powie! Panie, on i mnie ciągnął na ten swój słup, wciskał pałeczki w garść i mówił: Stasiak, ty masz ucho, ty poczujesz, wejdź, wsłuchaj się...

— No i wszedł pan?

— Panie, gdzie tam! Jeszcze czego! Taa, ja mam ucho! Ale ja nie muszę bębnić, by słyszeć! Ja byłem trąbonitą w naszej echonii przez całe młode lata, to ja wiem, to co ja mu tam teraz bębnić będę! No ale potem to się innym coś na uszy rzuciło. Józwa, Huraś, Wabaszkowie, Strychny, no i Krzywickie... a potem to panie już ich nie ma nawet jak liczyć...

— Ale chyba jednak nie ma ich tu u was zbyt wielu?

— Nie ma? A nie słychać? No weź pan nie mów że pan nie słyszysz!

Ależ oczywiście że słyszałem. Dyskretne bębnienie niosło się delikatnie po okolicy, powiedziałbym że nawet łagodne i kojące. No, ale ja byłem z miasta, mnie huk ulicy wypalił z uszu wszelką wrażliwość i jakakolwiek odmiana była błoga. Z drugiej strony, ludzie tutejsi musieli sobie cenić inaczej brzmiającą ciszę...

— Panie, no i nie słyszałeś pan jak ten Włodek bębnił! Żałuj pan, zrozumiałbyś pan wszystko. Sam pan byś go kijem w pięć minut pogonił, a my wytrzymaliśmy parę ładnych lat. Walił pacan jeden jak w beczkę po ropie, to co pan teraz słyszysz, to nic, to teraz Ciesiu Wabaszek nadaje, niech mu tam, kogo to obchodzi, szkoda chłopca że czas marnuje, ale niech mu tam. O, zara też pewnie posłyszysz pan jak zabębni Józwa, on mieszka bliżej. U nich panie to jak w zegarku, do południa jeden, po południu drugi, o zachodzie trzeci, jakoś tak się zmieniają, bo to ma być u nich cały dzień. Bo jak tak przebębnią wszyscy cały dzień na całym świecie, to im się spełni. Ha, panie, takiego, spełni... A w ogóle, co pan się nimi interesujesz? Co to, ciekawszych rzeczy nie ma na tym świecie?

Dziadunio miał rację, nie dało się pogadać. Może każdego innego dnia pewnie by jakoś poszło, ale chyba dzień dzisiejszy był jakiś bardziej szczególny – bębniści albo bębnili, albo ich zwyczajnie w domach nie było. Bębniącego bębniście ściągnąć ze słupa można było chyba w jeden tylko sposób – tak jak ściągnięto Krzywickiego. Tej metody nie próbowałem, nie chciałem, żeby to o mnie potem ktoś musiał napisać reportaż. Wystarczy, że chwilowo ja musiałem.

Echonię wzniesiono na wzgórzu, trochę więc zajęło mi czasu i wysiłku dotarcie do złożonych bocznych drzwi, prowadzących do trybautnii. Pulchniutki blond chłoptaş w stroju trąbonity przywitał mnie zmęczonym wzrokiem. Niech będzie odtrąbiony. Tak, mistrz sensualius jest u siebie. Nie, nie sądzę, żeby mógł teraz porozmawiać. Mam się przekonać? No niech będzie. Przekonam się. Teraz? Blondas wolałby się przekonać później. Naprawdę teraz? A kto tak pilnie chce się widzieć z mistrzem sensualiusem? Klawesjusz Grypski. Wizytówka? Aha... no to pójde spytać...

Leniwe kroki powoli stukwały w ciszy korytarza, by po paru minutach uderzyć w allegro. Już myślałem, że to wizytówka działała cuda, ale nie, to tylko inny trąbonita zbiegał po schodach i minął w dzikim pędzie drzwi, przy których stałem. Dłuższą chwilę stałem. Doczekałem się wreszcie blondaska, który uprzejmie poprosił mnie, bym jednak raczył przyjść nieco później. Dokładnie kiedy? Nieco później. Ale jak nieco? Po prostu dokładnie tak, że nieco później. Czy mistrz sensualius nie zechce mnie dzisiaj przyjąć? Nie, tego nikt tak nie powiedział, proszę po prostu przyjść później. Dobra, czy dziś po południu, o pierwszej? Obawiam się, że mistrz będzie dziś bardzo zajęty. Więc nie zdoła mnie przyjąć? Tego nikt tak nie powiedział, proszę spróbować może później... Dobra, przyjdę o pierwszej.

Nie dałem czasu blondaskowi na zaprotestowanie, uznałem się za umówionego. Bynajmniej nie na pierwszą – musiałem dopiąć swego i spotkać się z sensualiusem jak najprędzej, bo dzień miał mi jeszcze przynieść sporo wrażeń – nie mogłem marnować czasu na czekanie, aż jakiś stetryczały dziad o wrażliwym słuchu i garbatym nosie zechce zamienić ze mną parę zdawkowych słów mówiących o wszystkim i wszystkiemu. Zresztą... sam sensualius właściwie nie był mi do szczęścia potrzebny. Zwyczajny trąbonita byłby w stanie mi udzielić informacji o tyle nawet wartościowszych, że pozbawionych ideologicznego bełkotu, jakim musi okrasić swoją wypowiedź osoba oficjalnie reprezentująca Echonię Powszechną. Każdy sensualius – miałem tego świadomość – musi wypowiadać się w odpowiednim duchu, wszystko co powie może być użyte przeciwko niemu i Echonii. Tymczasem szczerzy trąbonita powiedziałaby to, co myśli i to, co wie. Z drugiej strony – wypowiedź trąbonity może świadczyć o pewnych faktach, ale nie sposób łapać

takiego za słowo i wyciągać daleko idących wniosków... No dobra, kogoś muszę złapać za nos, im bardziej garbaty, tym lepiej.

Okrzyłem gmach echonii i wszedłem głównym wejściem. Echonie bywają zwykle otwarte w ciągu dnia, dostępne dla przygodnych miłośników muzyki, wsłuchanych w trąbkę. Był w naszym kraju również pewien odsetek wsłuchanych w fortepian, popularny zwłaszcza na zachodzie. Byli też stronnicy fletu, zwolennicy Muzyki Czystej. Dawno temu dwóch mistrzów brzmienia pokłóciło się o Muzykę Spełnienia, czy jej istota ma być przede wszystkim najbliższa czystej formie dźwięku, czy wierna kulturowanej tradycji – którą wówczas określała trąbka. Tak to rozeszły się drogi mistrzów, po czym rozrosły w dwa główne nurty brzmień, z których każdy miał być tą najwłaściwszą muzyką, Muzyką Spełnienia. Nasze ziemie pozostały wierne trąbce, im dalej na wschód, tym bliżej fletu. Fortepian wyrósł między nimi zupełnie niespodziewanie, na zasadzie grającego urzędnika, grającego pięknie i wzniosłe, ale rządzącego się zupełnie innymi ideami. Podejrzewam, że do wyniesienia go do rangi trzeciego, konkurencyjnego instrumentu, mającego przynieść Muzykę Spełnienia, doprowadziło znudzenie – przede wszystkim trąbką. Fortepian wyrósł bowiem na zachodzie, gdzie nikt nie dbał o jakość trąbienia – grano byle jak i byle po co, wmawiając, że tym sposobem wreszcie się spełni. Flet był za daleko na wschodzie, kojarzył się za bardzo z mocarstwem, które wyraźnie szczyrzyło wówczas zęby na zachód, nikt nie łapał więc za flet, by nie być podejrzanym politycznie. I wtedy właśnie wyrósł fortepian, z impetem rzucony w wir dziejowej burzy Państw Skrajnych i Państw Wysokich. Zdobył popularność nieziemsko szybko, uszy znękane piłowaniem wentyla chętnie podchwyciły nowy ton i nowe brzmienie. Wywołało to wielkie poruszenie muzyczne, z początku fortepianistów traktowano dokładnie tak, jak do niedawna – bębniaków. Jako oszołomów burzących i niszczących wierną tradycję. Ale dzisiaj zdecydowanie nikt tak już do tego nie podchodzi. Zdarzają się nawet wspólne koncerty. Trzeba też przyznać, że całe to fortepianowe zamieszanie bardzo wpłynęło na jakość Muzyki Wiernej – teraz trąbią, nie tylko nasi, znacznie staranniej dobierają dźwięki.

Owe staranne dźwięki dały się słyszeć w pięknie rezonującym wnętrzu echonii. Młodzieniec w stroju trąbonity stał na trąbolicie i grał. Cicho i jakby nieśmiało, ale dało się go słyszeć bardzo wyraźnie. Melodia wydawała się być na pierwszy rzut ucha prosta i niewyszukana, dopiero po chwili mój atonalny słuch wyłowił tkwiącą w niej finezję. Niezłą finezję. Znakomitą finezję. Genialną finezję! Nie spodziewałem się, że wchodząc do wiejskiej, prowincjonalnej echonii trafię na występ *maestro fideli!* Zupełnie przypadkiem zorientowałem się, że poza mną i grającym nie ma tu nikogo, wnętrze było puste. *Maestro fideli!* grający do pustej sali? Niemożliwe. Mistrze najwyższej klasy nie mieli szans na grę do pustej sali. Więc chyba nie był to mistrz finezji. Niewiele więcej udało mi się spostrzec, gdyż młodzieniec zauważył moją obecność i szybko się zwinął, ucinając muzykę. Aha! Czyli coś nie gra, w przenośni i dosłownie. Albo to moja obecność była tu obrazoburcza, albo jego wystąpienie z lekka mówiąc, nieprotokolarne... Przekonajmy się.

Pośpiesznie, lecz dyskretnie (w końcu to echonia, nie tor biegów sztafetowych) podążyłem za trąbonitą. Nie zamknął drzwi od trumpatium, zniknął za nimi z prędkością światła. Nie próbowałem go zbyt ostentacyjnie gonić, zależało mi jednak na tym, żeby z nim zagadać. Udało mi się wślizgnąć do biura zanim go wcięło w głębszych czeluściach gmachu. Moje uprzejme acz zdecydowane „przepraszam, maestro!” osadziło go dziwnie nerwowo w miejscu. Łypnął na mnie neurotycznie i stanął nieco bokiem, zasłaniając trzymaną w rękę trąbkę. Wydukał dwa słowa przeprosin, że zaraz wróci, że tylko musi ... po czym chycnął dalej, jakby żałował tego, że się dał zatrzymać. Nie mogłem go gonić. Usiadłem w trumpatium i postanowiłem cierpliwie poczekać na kogokolwiek, kto się nawinie.

Z trumpatium droga prowadziła albo przez prywatne apartamenty gospodarza, albo do znajdującego się na górze *tromphosanctum*. Chłoptaş, który musiał mieć coś na sumieniu, nie pobiegł bynajmniej przez korytarz prywatnych kwater sensualiusa, jego kroki dało się słyszeć na skrzypiących drewnianych schodach. *Zaszyje się w sanctum?* Ha, nie on jeden w tym przybytku...

Zacząłem dyskretnie gwizdać. Nie należało to do dobrego tonu, ba – w tym miejscu stało to na krawędzi świętokradztwa – ale musiałem jakoś zwrócić na siebie uwagę. Wejść bezczelnie dalej bez zaproszenia nie mogłem – to już *byłoby* świętokradztwo. Miałem tylko nadzieję, że nie wpadnie do trumpatium ten sam blondasek, który mnie próbował spławić przy wejściu do trybautni. Ale to było raczej mało prawdopodobne, trybautnia nie była wbudowana w gmach echonii.

Nie musiałem długo gwizdać. Już po kilku zwrotkach podwórkowego „marsza gwizdalców” do trumpatium zajrzało skwaszone oblicze. Jakby znajome... Nie, nie dał mi czasu na skojarzenia, poznał mnie pierwszy.

— Klawciu, niech to Wielki Akord trzaśnie, co ty u nas porabiasz?

Skwaszone zrazu oblicze rozpogodziło się jak poranek i od razu wiedziałem, skąd ja ten fizys kojarzę! Heniek Frydman był największym łobuziakiem jakiego znały wszystkie szkoły, do których chodził, od niższych do najwyższych, do których się o dziwo dostawał. W gruncie rzeczy był to najbardziej łebski gość jakiego znał nasz kraj, tyle że miał alergię na wszelki rygor i obowiązek. Opinię miał paskudną, uważany za niereformowalny przypadek niewyuczalności – nikt nie zauważył, że Heniu się po prostu niemiłosiernie nudził, pojmując w lot wszystko to, co innym trzeba było tłumaczyć przez całą lekcję. A że pojął coś w lot, to nie to samo co docenić użyteczność dopiero co pojętej wiedzy, więc Henio zawzięcie bojkotował nabywanie obowiązkowego wykształcenia. Nie przeszkadzało mu to w tym, by na sam koniec, przyciśnięty za gardło przez edukatorkę i rodzinę, opanować wszystko co trzeba w jeden wieczór i zdać za jednym podejściem, choćby przed komisją. A komisje zdarzały mu się bardzo często – nie widywał bowiem nic praktycznego w spotkaniach z nauczycielem, który miał mu po raz ostatni przedstawić zagadnienia egzaminacyjne i zweryfikować jego wiedzę...

Ale Heniek w Echonii?

Od kiedy tylko pamiętam, byłem atonalny. Nie z żadnej przekory ani w geście jakiegoś buntu, po prostu nie kręciło mnie to całe mistyczne crescendo uczuć, tchnień i natchnień, od jakich pękały echonie w całym kraju. Mnie się nie wydawało, żeby cokolwiek z tego miało się spełnić, szczególnie jak jakiś *maestro kurduplo picchicato* zaczynał coś furczeć na trąbce solo, a wszystkie ciotki mdlały powtarzając „taki młody, taki młody!”. Wujowie stali wiernie i dzielnie, każdy dałby się za trąbkę pokroić – ale wychodząc z echonii jeden przez drugiego przetykał sobie nerwowo ucho, jakby chciał wydłubać zeń resztki zasłyszanych nut, by nie zaschły lub nie zapleśniały. Prywatnie każdy grał na czym chciał – jeżeli w ogóle grał, lub był w głębi ducha atonalny – a wszelka dyskusja o muzyce kończyła się na sporcie. Nie miałem nic przeciwko takim końcom dyskusji, ale wolałem, by wszelkie gadki od razu uczciwie od sportu zaczynać. Ale to nie leżało w dobrym tonie. Trąbka przede wszystkim, trzeba odtrąbić swoje i dopiero wtedy można zacząć dalej żyć. Wtedy się spełni. A bez trąbki by nie mogło? – pytałem i od razu dostawałem od rodziców w skórę, że durny gówniarz jestem i że wszyscy kochamy trąbkę bo nie można trąbki nie kochać i że to właśnie czyni z nas ludzi. Z początku byłem za mały, żeby zapytać o flet i fortepian, a jak dorosłem – było mi już wszystko jedno. Prędko zauważyłem, że istotnie – trąbka czy jakakolwiek inna muzyka jest cechą człowieczą, bo tylko człowiek potrafi nadać pozorny sens czemuś, co sensu i użyteczności jest zupełnie i całkowicie pozbawione. Tylko istota ludzka potrafi udawać, że się karmi czymś, co najchętniej by wypuł z obrzydzeniem – ale czyni to z godnością w imię jakiejś niezwykle abstrakcyjnej idei, której nie pojmuje i nawet nie próbuje pojąć. Nie jest mu potrzebny sens ani idea, potrzebny jest mu sam akt oddawania hołdu. Uświadomienie sobie tego faktu odprężyło mnie, przyjąłem pełną szacunku postawę dystansu – wystarczy akceptować ów hołd powszechnie oddawany, ów hołd pusty i próżny – nie próbując go na siłę napełniać, bo jego istota tkwi właśnie w owej próżni. Hołd ów zrationalizowany – stałby się wprawdzie banalny. Wreszcie, z czasem, zostałby doszczętnie zakwestionowany i usunięty w cień, bo wszystko co racjonalne jest w końcu kwestionowane i zastępowane czymś lepszym, mądrzejszym, doskonalszym – jako że rozum możemy doskonalić w nieskończoność. Ale pustego i bezsensownego działania nie da się podważyć, nie da się zastąpić czymś lepszym i doskonalszym, skoro cała jego pełnia i doskonałość mieści się właśnie w bezsensie i pustocie – taka więc trwa wiecznie! I niechże się spełni...

Paradoksalnie, to właśnie skrzypce czyniły wielu z nas atonalnymi. Skrzypce grały dla samej gry i radości grania, był w nich sens samoistny, nie wepchnięty na siłę, hołd niczym nie nakazany, niewymuszony. Skrzypiec nie musiał doceniać ktoś, kto tego nie chciał – a na dobrą sprawę nie umiał. To właśnie skrzypce służyły nam wszystkim nie domagając się udawanego uznania, a ich Spełnienie spełniało się od razu z chwilą gry – otwarcie ukazując swoją wartość według tego, kto i jak gra. Nikt nie mdlał i nie jęczał „taki młody, taki młody!”. Jak ktoś rzępolił niemiłosiernie że aż mu struny z żalości rdzewiały pod smyczkiem, to ten, kto miał słuch, słyszał to od razu. Nie dało się tutaj udawać talentu. No, chyba że ktoś nie miał ucha i było mu wszystko jedno. Ale taki wsłuchiwał się grzecznie w trąbkę i nie zabierał głosu w sprawie skrzypiec, ani też muzyki jako takiej.

Byłem więc atonalny, co nie było wcale rzadkością. Atonalnych było całkiem sporo, tyle że nikt się specjalnie z tym nie afiszował. Określenie to nie oznaczało bynajmniej sprzeciwu wobec muzyki, chodziło po prostu o dystans wobec tych wszystkich mistycznych spełnień i owych sensów wyższych w bezsensie ukrytych. Każdy wsłuchany, czyli nie atonalny, zwykle deklarował swoją wierność jakiemuś przewodniemu nurtowi muzycznemu, reprezentowanemu czy to przez trąbkę, fortepian, flet czy – a i owszem – bęben, bądź jakkolwiek inny instrument. Ha, nawet skrzypce podciągali niektórzy pod jakąś

swoją prywatną muzykę spełnienia, choć nie było to intencją skrzypków, by propagować coś takiego. Ale ja byłem zwyczajnie atonalny. Uczciwy wobec siebie. Lubiący – czemu by nie! – posłuchać trąbki, byle w wykonaniu *maestro fideli*, a nie jakiegoś pryszczka, którego młodość i znajomości z lokalnym sensualiusem były jedyną zaletą...

Heniek. On przecież zawsze, od kiedy tylko go znam, był atonalny!

Rozmowa – o dziwo – jakoś nie kleiła nam się. Heniek z początku wybuchnąwszy radością na mój widok, nagle jakoś spuścił z tonu, trochę skulił się w sobie jakby żałował, że mnie spotkał. Kolegowaliśmy się intensywnie swego czasu, rozdzieliło nas samo życie, ciekaw byłem tego, co też on może w życiu porabiać, ale – właśnie! – w żadnym wypadku nie pasował mi do posepnych i dostojnych murów echonii. Chyba to wyczuł, bo łypał na mnie dziwnie, jakby oczekując jakiegoś komentarza na swój temat. Pogadaliśmy trochę o starych dobrych czasach, kiedy w końcu postanowiłem walnąć wprost.

— Heniek, chyba wiesz o co chcę spytać. Co ty robisz w echonii? Jeszcze na dodatek jako trąbonita wyższego brzmienia?

Mój stary towarzysz ze szkolnej ławy odziany był w purpurowy wams, co nie pozostawiało wątpliwości co do piastowanego przezeń stanowiska. W odpowiedzi na pytanie wydał wargi w grymasie dezaprobaty.

— Klawciu, czy ty musisz być tak samo nudny jak wszyscy? Co kogo nie spotkam ze starych znajomych, każdy zaskoczony – ty w echonii? Ty w echonii? – no a co, jak cały naród w trąbkę dęty, to mnie nie wolno?

— Dobra, Heniek, ale ty byłeś zawsze atonalny, i to wojujący jak pamiętam...

— No to co? Już nie jestem atonalny.

— Tak po prostu?

— Nie, nie tak po prostu. Ale to długa i nudna historia, a tymczasem dobry obyczaj nakazuje, żebyś ty powiedział, co TY robisz w echonii? A w zasadzie w Zakrzewicach – masz tu rodzinę? Chcesz dać na otrąbiny?

Wyjaśniłem Heńkowi, co mnie do Zakrzewic sprowadza. Jak tylko wspomniałem o bębniarach i wypadku z Krzywickim, zauważyłem, że się lekko skrzywił. No cóż, moja rola była dość niewdzięczna – zawsze tam, gdzie dzieje się heca angażująca poważne emocje, dziennikarze nie są chętnie widziani. Szczególnie Echonia starała się trzymać na dystans pismaków nie związanych z nią ideowo. Ja z nią ideowo związany nie byłem.

— Klawciu, ale właściwie czemu cię interesują bębniści? Nie masz ty ciekawszych tematów? Byle chryja gdzieś na wsi – a właśnie ty musisz tam lecieć?

— Też mi się to Heńku nie uśmiecha. Jestem tu w ramach pokuty, jeżeli można to tak ująć.

— Pokuty???

— Heniek, teraz ja to powiem – to długa i nudna historia. Pokuta i już. Muszę machnąć reportaż o bębniarach, Echoni i hecy w Zakrzewicach, mam to na dodatek zrobić tak, by było ciekawe. Rzecz chyba niewykonalna – o bębniarach wszyscy wiedzą wszystko, a poza tym, jak sam zauważyłeś, nikogo oni właściwie nie interesują, ludzie mają dosyć ich bębnienia nad uchem. Mnie najbardziej interesuje banton i nie mogę się doczekać meczu Nadgardenii Wojnowidły z Bakanaką Gedyminia, grają za dwa tygodnie.

— A niech to Wielki Akord! Sprawozdawca sportowy pisze o bębniarach! — Heniek był tak tym ubawiony, że rechotał dobrą chwilę. Wnerwił mnie tym trochę.

— Heniek, wiem że to farsa, ale ja to traktuję poważnie. Muszę udowodnić swoją klasę, więc wziąłem delikatny i trudny temat. Brachu, pomożesz?

— A jak ja mam ci pomóc? Idźże sobie z nimi pobębnić, no i będziesz wiedział wszystko. Oni przyjmą cię jak hrancuskiego hrabiego.

— Heniu, na taki pomysł to ja też wpadłem, mam też zamiar go zrealizować. Ale jak już tu jestem, chcę dopaść waszego sensualiusa i zadać mu parę pytań. Miłych, łatwych i spokojnych, nie martw się. Możesz załatwić mi audiencję?

— Chcesz rozmawiać ze staruszką Timavictusem? Nie sądzę, żeby na cokolwiek ci się przydał. Siedzi tutaj, bo siedzi – i niech mu się spełni! Ostatnio zajmuje go tylko jego egzotyczny ogródek i banda perliczek. Wiek ma swoje prawa. Jediną sensowną osobą, z którą możesz gadać, jestem niestety ja.

— Świetnie! Lepszego gościa mi nie potrzeba. Heniek, pierwsze pytanie już ci zadałem, ale mnie zbyłeś. Stary, gadaj wreszcie, co ty tu robisz w purpurowym wamsie ze złotym kluczem na piersi i elektryką w uchu. Ja pytam teraz zawodowo, bo zawodowo interesuje mnie twoja historia. Nawijaj więc!

— Dobra, panie Grypski, sam pan tego chciałeś. Pamiętaj, że cię ostrzegałem. Klawciu, powiedz mi najpierw, czym jest dla ciebie muzyka? Czego słuchasz?

— Heniek, ja jestem atonalny.

— Atonalny tak naprawdę może być tylko niesłyszący od urodzenia. Każdy ma jakąś muzykę. A ja nie pytam, w co jesteś wsłuchany, tylko czego słuchasz i co ci to słuchanie daje.

— Skrzypiec, rzecz jasna.

— Skrzypiec. Znakomicie. Najbardziej zaawansowana muzyka, wymagająca talentu, słuchu i wrażliwości. Ekstra. I co z tych skrzypiec masz? Sam nie grasz, a nawet jakbyś grał?

— A nawet jakbym grał, to tym bardziej. Muzyka to dla mnie relaks i odprężenie. Chłopie, cała gadka o spełnieniu, o czymkolwiek co może gdzieś być poza brzmieniem sensu stricte jest dla mnie bajdurzeniem o miedzianym lisie. Nie mów mi tylko, że całe mnóstwo skrzypków też gra na trąbce. Ja rozumiem i szanuję ich podejście, niech im się spełni. Mnie to nie rajcuje. Skrzypce najlepiej weryfikują talent, artyzm, słuch i wycucie. Koniec kropka. Wszystko najlepiej mi się spełnia, kiedy leżę na kanapie wieczorem i słucham pasji Wermera, albo gdy idę na koncert i wiem, dlaczego sala klaszcze po każdym występie.

— Muzyka dla muzyki, mówisz, i nic więcej. Dobra. Sam też tak kiedyś myślałem. Myślisz jednak, że wiesz o trąbce wszystko?

— Heniek, ja wiem że nie da się ogarnąć wszystkiego, co Echonia o trąbce napisała. Ale dla mnie to bicie piany. Pytasz o moje osobiste wrażenia, ale je przecież znasz.

— Klawciu, wpadłeś wypytywać mnie, a burzysz się, że ja ciebie pytam. A ja pytam naprawdę nie bez powodu. Zrób przystanek i się zastanów – czy gdyby jakaś muzyka niosła w sobie coś więcej niż brzmienie...

— Heniu, ja wiem, że jesteś trąbonitą wyższego brzmienia, ale proszę, nie próbuj mnie wsłuchać na siłę. Wróćmy do tego, że – jak zauważyłeś – to ja pytam. Ja tu jestem nieważny, teraz o ciebie chodzi. Przyjmę jak dziad w ucho wszystko, co powiesz, ale mówże o sobie!

— Mam cię nie próbować wsłuchać w trąbkę? — Heniek uśmiechnął się przeciągle — A wiesz, że to nawet dobry pomysł... Będę złośliwy i chyba właśnie to zrobię!

— Heniek, ja dorosły człowiek jestem, bądźże poważny...

— Też jestem dorosły i jak najbardziej poważny.

— To pięknie. Przejdźmy więc do rzeczy. Jaka to jest więc ta twoja długa i nudna historia?

— Mam lepszy pomysł. Klawciu, przyjechałeś tu na chwilę czy możesz troszkę zostać?

— Teoretycznie mam dla siebie cały tydzień. Jestem na przymusowym urlopie...

— Uch, to brzmi groźnie, przymusowy urlop... stary, co ty zmagistrował? Zabiłeś celnym komentarzem trenera krajowej reprezentacji? Puściłeś kaczkę dziennikarską, co się okazała być sokołem?

— Nie zgadłeś. I lepiej dalej nie pytaj.

— Więc moje domysły staną się wersją oficjalną komunikatu na Twój temat...

— Heniek, proszę!

— Dobra, jak prosisz... widzisz, coś mi wpadło do głowy... jest coś, co się może zdarzyć, co może ci dostarczyć trochę materiału...

— Heniuś, ja już mam temat...

— Ten, co go masz, przehandlujesz na bazarze za dziurawe kapcie. Tak się składa, że jutro wpada do nas baleon Geramidary z dyskretną wizytą...

— Heńciu, jakbym chciał gadać z jakimś baleonem, udałbym się do centrali w Wasserburgu, miałbym nawet bliżej. Tymczasem nie bardzo mam chęć łapać baleona za złotą delię i cisnąć o bębniaków, nawet wiem, co mi powie.

— Tak, ale ja nie zamierzam napuszczać na ciebie baleona, ani na odwrot. Mówię ci tylko, że jutrzejszy, albo któryś następny dzień dostarczy ci trochę materiału. Sam pomyśl, do małej wsiowej echonii fatyguje się sam baleon, nie robiąc przy tym wielkiej pompy. Nie ma tu rodziny, nie przybywa na wywczas, nie chodził z miejscowym sensualiusem do jednego sensualium. To on czegoś od nas chce, nie my od niego. Geramidary też nie jest zwykłym baleonem, o ile można w ogóle użyć określenia „zwykły baleon”.

Heniek popadł jak widać w typową trąbicką megalomanię. Otóż można było użyć określenia „zwykły baleon”, choć tytuł ów odnosił się zawsze do wysoko postawionych dostojników Echonii. Karierę w Echonii rozpoczynało się od stanowiska trąbonity szarego, przeznaczonego do najprostszych usług. Jak miało się trochę słuchu i wyczucia, ewentualnie – robiło się dobre wrażenie na miejscowym sensualiusie – zostawało się trąbonitą czarnym, mogącym pomagać przy otrąbinach, ale tylko w przygotowaniach. Na trybautnię delikwent mógł wejść dopiero, jak został trąbonitą białym, a to też tylko wtedy, kiedy nie było pod ręką trąbonity błękitnego. Paleta kolorów rozwijała się potem niebotycznie szeroko, ale prawdziwa kariera rozpoczynała się od stanowiska trąbonity brzmienia. Trąbonicy brzmienia dzielili się na klasy brzmienia niższego, podstawowego i wyższego. Najwyższym trąbonitą był trąbonita purpurowy wyższego brzmienia, będący o krok od stanowiska sensualiusa. By jednak zostać sensualiusem, trzeba było być przyjętym do sensualium, a tam – przynajmniej teoretycznie – stało na drodze ostre sito selekcji kandydatów. I dopiero kończąc sensualium i zostając sensualiusem wiązało się na dobre swój los z Echonią, wcześniej miało się znacznie niższy status, ale też bez większych zobowiązań. Zaiste, długa była droga od trąbonity szarego do baleona, którym zostawało się zwykle nie wcześniej niż po pięćdziesiątce. Później pięćdziesiątce. Ale i baleon mógł być zwykły. Jeżeli należał do baleonatu klucza, to przeważnie zaliczał się do całego mnóstwa baleonów odstawiających zwykłą biurokratyczną robotę. Baleonat klucza zarządzany był przez wąskie grono dostojników wielkich, którzy naprawdę mieli coś do powiedzenia. Inaczej rzecz się miała z baleonatem elektry. Teoretycznie klucz, według trąbickiej doktryny, stał wyżej niż elektra, ale prawdą było to, że dopiero baleonat elektry skupiał w sobie pierwszorzędną elitę Echonii. Być baleonem elektry rzadko kiedy oznaczało bycie „zwykłym baleonem”. Geramidary musiał być więc baleonem elektry, gdyż ważny baleon klucza, będący jednym z dostojników, nie miał szans nigdzie ruszyć się „z dyskretną wizytą” – było ich zbyt mało i byli zbyt dobrze znani. Oczywiście od tych reguł zdarzały się wyjątki – czego najlepszym przykładem magnomaestro Epiteusz Pelzpilz, trzęsący opinią publiczną i nadający ton nieomalże wewnętrznemu brzmieniu Echonii, postrzegany przez ogół wręcz jako jej oficjalny głos – a nie będący nawet „zwykłym baleonem”. Niemniej, skoro Geramidary nie był zwykłym baleonem, tylko zapewne elitarnym członkiem elektry, to istotnie jego wizyta – dyskretna wizyta – w małej wiejskiej echonii była czymś wyjątkowym, zapowiadającym się arcyciekawie. Przynajmniej dla kogoś ciekawego tego, co się działo w echonii. Więc niekoniecznie dla mnie. Ale, niech tam. W ramach pokuty...

— Dobra, Heniu, ale jakim cudem ja mam mieć dostęp do tych ciekawostek związanych z baleonem Geramidarym, skoro zapewne zamkniecie się w echonii na cztery spusty i tyle z tego będę wiedział, co mi wróble wyćwierkają. Baleon zapewne przepędzi mnie na cztery wiatry, jak się dowie, że na jego dyskretny pobyt w waszej echonii wkręcił się dziennikarz...

— Klawci, mam prosty pomysł. Tu się będzie coś działo, czuję to przez skórę, więc mam też wrażenie, że będzie warto ciebie w to wkręcić. Przebierzesz się w srebrny wams i będziesz mi asystował.

— Asystował???

— Nie martw się, mam prawo wziąć do pomocy kogo chcę. Mówiłem ci już, tak naprawdę to ja tu trąbię. Nie patrz tak na mnie. To naprawdę dobry pomysł.

— Heniu, zaskakujesz mnie. Od kiedy trąbonita wyższy sensualiusa?

— Zaskakuję cię. Prawdłowo. Tak tutaj jednak jest i muszę ci powiedzieć, że to dla mnie najlepszy układ. Ale decyduj się, moja propozycja też jest wyjątkowa. Idziesz na to?

— Heniek, to brzmi ciekawie, ale ja nie mam zielonego pojęcia...

— Bo nie musisz. Staniesz sobie w kącie ze złotym kluczem na kiju albo z episonią i będziesz biernym obserwatorem. Proponuję ci to, bo wiem co robię, ty się zawsze umiałeś znaleźć w każdej sytuacji. Nauczysz się kilku prostych zagrywek, ukłonisz się jak grzeczny chłopczyk i będziesz robić mądrą minę, jakbyś wszystko rozumiał. Niczym stary nie ryzykujesz, trąbić nie będziesz, baleon też nie będzie z tobą gadał, wybac.

— Heniek, ale jak ja strzelę jakąś gafę, to baleon rozerwie na strzępy nie tylko mnie, ale i ciebie.

— Możliwe. Ale ja ze swojej strony wiem, że Geramidary to nie tylko wielka sycha, to także niezwykle równy gość...

— Heniek, ale ja się jakoś nie widzę jako uczestnik takiej szopki. Nie, to trochę nie w moim stylu. Poza tym sprowadzają mnie tu bębniści, a nie wizyta baleona, choćby i Geramidarego.

— Bębniści. Po jutrzejszym dniu odechciałoby ci się z nimi gadać. Przemysł więc moją propozycję, ona jest wyjątkowa. A z bębniściami pogadaj sobie możliwie wcześniej rano, bo już po południu dasz sobie spokój – jeżeli pójdziesz na tę, jak to raczyłeś określić, „szopkę”. Ja ci tylko powiem jedno – oni chcą się spełnić przez bęben, każdy wie. Ale żaden bębniści nie wybębnił choć ułamek tego, co już wybrzmiewa w Echonii. Ja niektórych rozumiem, słuchając pewnych wystąpień to można mieć trąbienia dosyć, niemniej żeby pójść w bęben i to na słupie – to wybac, z całym szacunkiem dla czyichś decyzji – jest to zwykłe wariactwo. Ale niech im się bębni. Co do hecy z Krzywickim – ludzie są po prostu ludźmi, sam wiesz. Mogę cię zapewnić, że Echonia nigdy nikogo nie podburzała przeciwko bębniściom, a w każdym razie – nie tutaj. Może gdzieś na południu, tam ludzie bardziej krewcy, ale nie u nas. Krzywicki załaził za skórę Winczakowi, bo Winczak to kolejny wariat – tyle że na punkcie trąbki. Taaa, nie patrz tak na mnie. Echonia żyje z takich wariatów, ale niekoniecznie ich lubi. Bądźmy ze sobą szczerzy. Wracając do Winczaka – nie wiem, czy to on pierwszy ruszył ściągać Krzywickiego ze słupa. Wiem, że Krzywicki sprawił sobie naprawdę wrednie brzmiący bęben i sąsiedzi powiedzieli „dość”. Krzywicki nie posłuchał po dobroci, to wzięli i ścięli. Myślę, że tu nie ma nic więcej ciekawego. Na twoim miejscu odbywałbym pokutę obracając się w innym temacie.

— Interesuje mnie też twój temat, pamiętaj.

— Pamiętam. Ale Klawciu, teraz mnie nie posłuchasz, teraz będę dla ciebie taki sam wariat jak każdy inny wsłuchany, więc cierpliwości. Zostaniesz do jutra?

— W porządku, mam w końcu parę dni do dyspozycji.

— Świetnie, zaraz przygotowują ci pokój, mamy nadwyżki lokalowe.

Heniek istotnie musiał być tutaj kimś. Zaprowadził mnie na trybautnię, gdzie po prostu zakomenderował co trzeba i nikt o nic nie pytał. Blondasek, z którym miałem okazję poznać się przy wejściu, pokazał mi pokój po czym gdzieś go wciął. Aż tak się boją dziennikarzy? W całym obejściu żywego ducha... Rzecz jasna, nie miałem wstępu do prywatnych apartamentów sensualiusa, jak również do ogrodu rozciągającego się za murem echonii. Dobrze chroniona prywatność, pozazdrościć. Tradycja zostawiania sesnualiusów we świątym spokoju była silniejsza i surowiej przestrzegana niż zwykłe poszanowanie cudzej własności.

Nieznacznie byłem ciekaw, co jutrzejszy dzień przyniesie. Trochę mi nie pasowała ta komedia z przebieraniem się i asystowaniem Heńkowi, kiedy będzie przyjmował baleona. Niemniej Heniek rozbudził moją ciekawość. Dla zabicia czasu przejrzałem biblioteczkę, znajdującą się w hallu trybautni. „Historia Wyższego Brzmienia”, sto siedemnaście tomów oprawnych w cielę (sztuczne). No, niech tam, przynajmniej szybciej zasnę.

Nie zachowały się żadne nuty pierwszej muzyki. Echonia twierdziła niezbiecie, że pierwsza muzyka była muzyką spełnienia, tyle że utraconą. W tym punkcie byli ze sobą zgodni wszyscy wsłuchani. Świat powstał w brzmieniu pierwszego akordu, zwanego Wielkim Akordem lub Kreatyką. Wszystko na początku wzięło się z muzyki i przez muzykę. Przez całe stulecia wszyscy brali to straszliwie poważnie. Echonia nadal oficjalnie stała przy tym stanowisku, ale prywatnie nawet większość sensualiusów gotowa była się już nie upierać. Także wyżsi baleonowie – a zwłaszcza oni – reprezentowali nieco współczesniejsze stanowisko, zgadzając się, że opis pierwszego brzmienia należy traktować raczej jako pewną alegorię. Co innego bębniści. Zwłaszcza Bractwo Czyniących Werbel zarzucało Echonii odejście od pierwotnego rytmu i głosu, liberalizację poglądów i rozwodnienie istoty rzeczy. Cóż, fakt pozostawał faktem, że wszyscy jakkolwiek wsłuchani, skazani byli na poszukiwanie po omacku. Czym grano pierwszą muzykę? Jakie brzmienie się spełni? Bębniści wskazywali na bęben, argumentując historycznie, że jest to najstarszy znany

instrument. Powoływali się nawet na anatomię – ludzkiemu uchu właśnie do bębna najbliżej, o czym świadczą bębni w uszach. Echonia wyśmiewa to anatomiczne stanowisko wskazując na trąbkę Eustachiusza. Jednocześnie zauważa, że bębni w uszach są jedynie częścią odbiornika dźwięku, a nie są naturalnym przyrządem do jego wytwarzania. Natomiast śpiewające ptaki wydają dźwięki w podobny co trąbka sposób – stąd wniosek, że sama przyroda ożywiona do trąbki bardziej się przychyła. Dlatego też trąbka jest najważniejszym instrumentem, zaś bęben ma znaczenie jedynie pomocnicze – bo owszem, w każdej echonii przy okazji trąbienia odbębni się to i owo. Nie stroni się od fletu, lutni, a nawet kontrabas – jednak zachowując należytą hierarchię. Takie podejście stało się obiektem ataków purystów dźwiękowych, wykazujących mozolnie, że pierwsza muzyka nie miała charakteru symfonii. Echonia – co mnie z lekka zdziwiło – przytakuje oponentom co do bębna jako najstarszego instrumentu, odpierając jednakowoż zarzut niewierności wobec pierwszego brzmienia tym, że muzyka się rozwija i to, co było spełnieniem parę tysięcy lat temu – dzisiaj już takim być nie musi. Podkreśla jednocześnie, iż to ona stała na straży zarówno bębnów, skrzypiec, fortepianów, fletów jak i wszelakich innych instrumentów i że bez niej nie zachowałyby się one do dnia dzisiejszego. Oponenti kpią z tego stwierdzenia, powołując się na historyczne fakty palenia bębnów i tępienia wszystkich grających poza Echonią. Dalej rozbieżności idą coraz głębiej, prowadząc do zacieklej i zupełnie bezsensownej wojny na słowa. Echonia ucina dyskusję powołując się na istnienie siedmiu trelutni, arcytrąbek, na których wydano pierwszy akord i które istnieją do dzisiaj. Echonia jest ich strażnikiem, więc ma rację i nikomu nic do niej. Opozycja zapytuje złośliwie, że skoro Echonia trelutnie posiada, czemu jeszcze nie udało się jej zagrać Melodii Spełnienia? Czyżby trelutnie doznały rozstroju? Echonia odpiera zarzut mówiąc, że Melodia Spełnienia jest melodią żywą i że przybędzie wtedy, gdy sama zechce, spełniając jakieś bełkotliwe proroctwo. Oponenti nie dają za wygraną, twierdząc że autentyczności trelutni nikt nie sprawdził i że każdy – byle tylko wybitnie zdolny – może wirtuozersko zagrać na dowolnym instrumencie i stwierdzić, że to arcytrąbka, arcyfortepian, arcyflet, itp. Echonia sprawdzić autentyczności nie da, bo byłoby to świętokradztwo. Wydawałoby się, że tu dyskusja utkwii w martwym punkcie, ale nic podobnego – rozpala się do białości i ciągnie przez kilkadziesiąt tomów rozmaitej polemiki, której nie śledziłem nawet z grubsza, bo w rzeczy samej zachciało mi się spać. Przeglądając ostatni tom bez najmniejszego zdumienia przyjąłem do wiadomości sążnisty wywód, że oczywiście wszystko wskazuje niezbić i bezwzględnie na to, że Echonia ma ostateczną rację, co przecież zostało wyraźnie, obszernie i wyczerpująco wykazane.

Heniek powitał mnie przy śniadaniu filiżanką kawy, którą nalał w trakcie stawiania zastawy na stole – co było jego starym cyrkowym chwytem. Niewiele się chłop na dobrą sprawę zmienił – ciągle lubił brylować, zaskakiwać, udawać że żartuje ale mówi poważnie, lub na odwrót. Nawiązałem do wczorajszej lektury „Historii”. Zdumiał mnie zupełny brak polemiki z wiolonczelistami.

— Klawciu, a po co nam polemika z wiolonczelą... — Heniek skrzywił się, ale nie odmówił komentarza — to było na fali kilkaset lat temu, potem okazało się, że z nimi najlepiej się żyje w zgodzie. Wiolonczela jest jak skrzypce. Zostawmy im ich muzykę, oni nie wadzą nam, my nie wadzimy im, nam się spełni, im się spełni – wszyscy będą zadowoleni. Taaa, wiem, Echonię podejrzewa się o najbardziej zaciekły sprzeciw wobec wiolonczeli właśnie, ale przecież wiesz, że Echonia sprzed pół wieku to już nie ta sama Echonia, a co dopiero sprzed półtysiąclecia...

— Ha, ponoć przecież „jedno brzmienie od wieków na wieki”...

— Tak, ale to muzycznie. Społecznie rozwijamy się, mądrzejemy, umiemy się znaleźć. Kiedyś tępiło się wszystko co obco leci, dzisiaj my jedyni mamy odwagę przeproszać.

— Bo i mamy za co...

— Klawciu, nie patrz na mnie jak na skruszonego Wielkiego Muzyfikatora, który za późno się obudził. Wiem, że wiolonczelistów podejrzewa się o najwymyślniejsze spiski i wpływy, o pociąganie za sznurki, matactwa i tak dalej. Kto mądry w to wierzy?

— Więc zostawmy mądrego wroga w spokoju?

— O! — Heniek znacząco uniośł palec — To wielkie szczęście mieć mądrego przeciwnika. Podkreślam – przeciwnika, nie wroga. Jest subtelna różnica. Nie ma mądrych wrogów. Gdyby byli mądrzy, nie byłiby wrogami. Wrogo nastawiony jest tylko głupiec. Mądry zawsze dąży do rozejmu. Jeżeli rozejm jest niemożliwy, pozostaje po prostu przeciwnikiem. Z mądrym przeciwnikiem zajdziesz dalej, niż z głupim aliantem.

— Nie jest raczej tak, że Echonia boi się kłopotów?

— Klawciu, nudzisz mnie. Zadajesz pytania jak dziennikarz z „Porannej Jaskółki”. Mówiłem ci — po jakiego grzyba nam polemika z wiolonczelą? Prowadzi do nikąd. Wiedzą to oni, wiemy to my. Nikt tu się nikogo nie boi, nikt nikogo nie chce rozliczać. Jasne, wiolonczeliści miewają uraz do reszty muzycznego świata, ale grają swoje i niech im się spełni.

— To po co w ogóle polemika?

— Właśnie! I zauważ, to nie my ją na siłę prowadzimy. To raczej twoi ukochani w bęben bici...

— Heniu, to nie są moi ukochani! — fuknąłem — mógłbyś też nie przezywać...

— Ja się śmieję, ja nie przezywam. Oni są w tym wszystkim najbardziej śmieszni!

— Niektóre autorytety Echonii uważają ich za niebezpiecznych.

— Niebezpiecznych dla ludzi, ale nie dla Echonii.

— Ponoć właśnie przez nich każde sensualium ma kłopoty z naborem...

— Ech, nasłuchałeś się propagandy! Sensualia mają swoje wymagania, a nie wszystkim chce się je spełniać – ot i wszystko. Echonie jakoś nie świecą pustkami, a to że parę rodzin od kilkunastu lat nieco głośniejsze bębni... że u nas też powyrastały słupy... to tylko ich strata.

— Echonia się nie przejmuje?

— Przejmuje się, ale nie sobą – jak próbuję ci powiedzieć – tylko tymi ludźmi. Tracą czas. Robią sobie wrogów. Angażują się w rzeczy puste i próżne. Rozbijają im się rodziny. Walczą nie wiadomo o co. Chcą zabębnić świat. Ładują w kanale, a potem niektórzy z płaczem wracają, widząc – niestety zwykle po latach – w co wdepnęli. Ludzi szkoda, Klawciu, ludzi.

— Ale im nie szkoda siebie samych. Wydają się być zadowoleni z życia...

— Oj, Klawciu, co ty wiesz o ludziach... — Heniek spojrział na mnie z politowaniem — wpadłeś tu prosto ze stadionu i myślisz, że dopóki sędzia nie zagwiżdże, to nie będzie karnego...

— Heniek, porozmawiajmy bardziej rzeczowo...

— Dobra, rzeczowo. Co proponujesz jako rzeczowe podejście do tematu?

— Spełnienie. Wszyscy grają, bo ma się spełnić. Co i po co?

— Klawesjusz proszę cię...

— No właśnie, bardzo proszę!

— O spełnienie pytasz. No dobra. Powiem ci coś w temacie spełnienia. Był tu kiedyś u nas w wiosce taki jeden, Boćko się nazywał, młody chłop, trzydziestki jeszcze nie miał. Wyjechał za pracą na jakiś czas, raz wrócił pomagać przy żniwach. Nie zebrał ani pięciu kłosek. Przywiózł – nie zgadniesz – muzykę! Miał nagrany na kasecie. Rozповідаł wszystkim, że nagrał spełnienie. Że już się spełniło, że on to ma, że to jest inaczej, niż ktokolwiek myślał. Jak sądzisz, co ludzie powiedzieli?

— Że wariat?

— No jasne! Nikt nie był też ciekaw, co on tam nagrał. Ludzie traktowali go jako nieszkodliwego – bo chociaż był uciążliwy, każdego zaczepiał, to nic poza tym. Do czasu... Któregoś dnia zaprosił do siebie sąsiadów – że niby chce ich samogonem uczęstować. Na takie zaproszenie każdy tu przyjdzie. Samogon owszem był, ale pędzony przez niejakiego Kiszczuka, znanego z partactwa – gość po prostu nabija procenty w butelkę nie dbając o nic więcej, ani z czego pędzi, ani jak. Sprzedaje tanio, więc jest osobistością znaną wśród tutejszych lumpów. Ci co są choć trochę bardziej na poziomie, nie biorą jego specjałów do ust, nie tylko ze względu na smak, ale i zdrowie. Tymczasem Boćko poczęstował swych bliźnich najtańszą wersją Kiszczukowego sikacza. Zdziwionym nieco gościom powiedział, że skoro zadowolają się popłuczynami muzyki najniższego sortu, to czemu kręcą nosem na kiepski bimber? On mógłby im dać boskiej ambrozji, jakby wiedział, że docenią! Ludziom trochę w oczach pociemniało – nikt nie lubi, jak się ich po uszach dotyka, to są w końcu też emocje. Padło kilka mocnych słów. Nie wiem, czy to dlatego, czy Boćko od początku to planował, czy działał pod wpływem impulsu, ale koniec końców sterroryzował ich siekierą, zamknął się z nimi i kazał słuchać tego swojego nagrania. Potem, kiedy biedne ludziska zaczęli w te pędy zapewniać go, że tak, że muzyka, że się spełnia – no bo co powiesz wariatowi z siekierą? – wtedy on rzecz jasna im nie wierzył! Chłopie, co to było, przyjechały trzy eskadry policji, wyciągnęli w końcu wariata. Ludzie dochodzili do siebie pod opieką psychologa jeszcze przez tydzień po

tym wszystkim. Ale im tydzień w końcu wystarczył, za to Boćko do dzisiaj siedzi w wariatkowie na prochach i elektrowstrząsach! No i powiedz – zadowolony z życia?

— Nie wszyscy, co nie trąbią, muszą być wariatami...

— Ależ oczywiście. Tylko jakoś tak się dziwnie dzieje, że od trąbki najmniej wariatów się bierze. A wiesz że mam tę jego kasetę? Byłem pierwszym negocjatorem, aż do momentu, jak przyjechał fachowiec. Boćko wrzucił magnetofon do pieca, krzycząc, że jak nikt nie chce spełnienia, to się nikomu nie spełni. Nie zauważył, że jeden z zakładników zdążył wcześniej wyjąć kasetę. Później mi ją dał – policja nie uznała za stosowne przebadać szczątków spalonego sprzętu, więc zachowałem ją na pamiątkę. I wiesz co? Jest na niej kawałek naprawdę ładnej melodii!

— Nie bałeś się, że i tobie się spełni jak jemu? — zaśmiałem się kwaśno.

Heniek popatrzył na mnie nieco poważniej.

— Wyobraź sobie, trochę się bałem...

Miałem trochę czasu do wieczora, kiedy to miał do nas zawitać baleon Geramidary. Miała to być wizyta dyskretna i nieoficjalna, pozbawiona jakiegokolwiek pompy – Heniek wręcz prosił, bym nie rozpowiadał spotkanym ludziom, że coś się będzie w Echonii działo szczególnego, poza dodatkowymi wieczornymi otrąbinami. Ludzie mieliby za złe, że coś ma być bez nich, zaczęliby walić drzwiami i oknami, a tego baleon by sobie wybitnie nie życzył.

Wioska od rana żyła swoim cichym życiem. Poszukałem wzrokiem, nad którym gospodarstwem sterczy najbliższy słup i tam skierowałem swoje kroki. Nie doszedłem jednak. Po drodze napatoczyłem się na nosowatego dziadygę, z którym rozmawiałem wczoraj. Towarzyszył mu jegomość w znoszonej burce, suchy na twarzy, z charakterystycznie zaczesanymi włosami „na pożyczkę”. Dziadunio gdy mnie dostrzegł, stanął jak wryty i pokazał mi ostentacyjnie palcem suchemu. Suchy pomachał do mnie i podbiegł żwawym truchtem. Nie próbowałem uciekać.

— Uszanowanie panu, uszanowanie! Pan pozwoli, Rychlik jestem. Pan redaktor, prawda? Ja już wiem, że pan redaktor. Pan porozmawiać przyjechał?

— Porozmawiać...

— Ja się bardzo cieszę! Pan widzę zdziwiony, tak, ja wiem, ale ja mogę panu naprawdę dużo powiedzieć, ja proszę do siebie... pan widzi, wreszcie może ktoś coś napisze, bo my tutaj sami nie dajemy rady, pan redaktor do mnie idzie! Jak ja zobaczył, że pan do echonii szedł, ja zobaczył, że pan porządny człowiek. Pan idzie, pan do mnie idzie!

Zaciągnięty przez Rychlika wszedłem na podwórko. Zwykle, zagracone niemiłosiernie, wsiowe podwórze, na którym gospodarz chomikował absolutnie wszystkie sprzęty, co się nie zmieściły w domu lub stodole – pogięte rury piecowe, kawałki desek, stos popękanych cegieł, stara emaliowana wanna żeliwna, resztki przerdzewiałej taczki, jakieś kawały blachy tudzież zwały połamanej eternitowej dachówki. Wiadomo, wszystko się przyda, wszystko kosztuje duży pieniądz, ze wszystkim tym kiedyś da się coś zrobić, a na razie musi stać cierpliwie i przypominać swym widokiem o swej potencjalnie wielkiej przydatności, świadcząc przy okazji o niezwyklej zapobiegliwości gospodarza. Weszliśmy do sieni. Wnętrze domu znowuż typowe, podzielone na cztery pomieszczenia, przez które kolejno przechodziło się z jednego do drugiego. Pierwsza kuchnia, potem jeden pokój, w lewo zwrot, drzwi, drugi pokój, znów w lewo zwrot – znowu pokój, zakończony drzwiami prowadzącymi do sieni, których jednakowóż nikt nigdy nie otwierał – były przysłonięte makatką. W każdym pokoju stół, cztery krzesła, tapczan. Praktycznie nic poza tym. Wszystko lśniło cukierkowym porządkiem. Ostatni pokój, najwyraźniej sypialnię gospodarzy, wyposażono w szafę z lustrem i bieliźniarką. W bieliźniarce domowy skarbiec, chyba z zamkniętymi oczyma wiedziałbym, gdzie sięgnąć, by wyciągnąć pudełko po ciastkach zawierające oszczędności, które musiały starczyć od żniwa do żniwa. Na szafie poustawiane gliniane dzbanuszki. W oknach sztuczne kwiaty. Na ścianie kronika rodzinnych fotografii. Nad tapczanem ogromne, kolorowane kredkami ślubne zdjęcie. Na honorowym miejscu portret miłościwie nam trąbiącego Echana Basileusa III. Obok małeńki złoty klucz, wiszący na drewnianej tabliczce, pomalowanej na niebiesko. U mojej babci wisiał taki sam kluczyk, tyle że ogromniasty portret obok przedstawiał nie Echana Basileusa, tylko Widweryka Peregrynacego I. Ale mimo to nie poczułem się tutaj bardziej swojsko...

Rychlik usadził mnie przy stole po czym zawahał się, zapewne nie wiedząc, czy zaproponować coś mocniejszego. Na obiad było za wcześnie, miałby kłopot z głowy gdyby było południe. Wtedy problem miałbym ja. Nie miałem apetytu, szczególnie gdy mnie częstowano obiadem na wsi. W pewnym momencie do pokoju weszła Rychlikowa (jak sądzę) i wniosła dzbanek zsiadłego mleka plus dwa kubki. Uśmiechnęła się przepraszająco, błyskając srebrnym zębkiem w górnej szczęce. Rychlik odetchnął.

— Pan redaktor wybaczy, że tak skromnie, nie byli my przygotowani, ale nie mogłem pana redaktora nie zaprosić, jak się dowiedziałem, że pan to właśnie pan redaktor... Pan z Wasserburga przybył?

— Z Wasserburga.

— Oooaaach, tak, no właśnie ja i tak pomyślał — oblicze Rychlika pokraśniało z zachwytu. Zdumiewające. Zwykle jak jakiś gość przyznawał, że jest ze stolicy, spotykał się ze straszną dezaprobatą wiejskiego otoczenia, im dalej od metropolii, tym większą. A tu Rychlik promieniał. Choć właściwie można było zrozumieć jego euforię. Każdy wasserburczyk wydaje się być obdarzony supernaturalną władzą przez sam fakt pochodzenia ze stolicy. Stolicy władzy. Tej stolicy, której za tę władzę tak bardzo się nie lubi. Wystarczy jednak że pojawi się ktoś, kto jest ową władzą obdarzony i może się on komuś na coś przydać, to wtedy się tę władzę kocha i ubóstwia. Tylko ta władza jest kochana, która stoi po naszej stronie. Władza neutralna, bezosobowa i odległa, nawet jak nie przeciwna, jest zawsze znienawidzona. Za sam fakt bycia władzą.

— Panie redaktor, ja powiem wprost i bez ogródek! My tu prości ludzie jesteśmy, my kręcić nie umiemy, my walimy prosto o co chodzi. Bo my tu, panie redaktor, to my już w ogóle nie możemy. No nie da się żyć normalnie, nie Bečka?

— Nie da się! – zamasyście potwierdziła siedząca na kanapie Rychlikowa, nazwana Bečka.

— No sam pan redaktor słyszy, nie da się. Gmina pomoc nie chce, Rada pomoc nie chce, pisał ja do województwa, jak groch o ścianę. Ale ja wiem, co ja mogę, co my wszyscy tu możemy, oni sobie myślą – niech te chłopcy, ten ciemny naród, nie narzekają. No tak, my ciemne, my proste. Ja dwie klasy skończył, robić było trzeba. Głód był. Panie, jakie te czasy były ciężkie... A teraz niech chłop nie narzeka, że teraz wszystkim dobrze tylko chłopu źle. A źle! Właśnie że źle, tylko kto o tym wie? No bo co, niech chłop zdycha, co im tam! A jak chłop weźmie i zdechnie, to kto kraj wyżywi? No kto, sam pan powiedz?

— Panie Rychlik, ja bym chętnie panu pomógł...

— No właśnie! Ja wiem, że pan pomoże! Pan wystarczy że napisze, tylko niech tak napisze, żeby do ministra doszło! Panie redaktor, bo to musi minister wiedzieć, on musi widzieć, że ludzie też wiedzą i czytają i chcą, żeby on co z tym zrobił, że nie panie redaktor?

— Tak, panie Rychlik, tylko...

— No właśnie że tak, panie redaktor! Ja od razu wiedział, że pan zrozumie, o co chodzi! Pan to jest taki człowiek, jakiego właśnie nam trzeba. Każden inny to tylko swoje widzi, nosa zadziera, własnych portek patrzy. A pan od razu rozumie!

— Nie rozumiem.

Rychlik spojrzął na mnie jakby nieco trzeźwiej, ale ogniki w jego bladych oczach nie przestały euforycznie migotać. Najwyraźniej nie mógł pojąć, czego ja tu nie rozumiem, skoro dopiero co przecież rozumiałem. Natychmiast wykorzystałem jego moment zawahania i wypaliłem jednym tchem:

— Panie Rychlik, ja nic nie mogę załatwić. Ja jestem tylko redaktorem sportowej gazety, który w ramach rozwoju zawodowego postanowił napisać artykuł o bębniarach mieszkających w waszej wiosce i o incydencie, który się przytrafił niejakiemu Krzywickiemu. Ja nie mam dojścia do żadnego ministra. I naprawdę nie wiem, w czym mógłbym wam pomóc. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi, to porozmawiam z kolegami po fachu i przyjedzie do was ktoś kompetentny. Ale proszę mi powiedzieć wprost, z czym macie problem.

Rychlikowe ogniki przygasły, po czym ustąpiły miejsca ponurej czerni, jaka szybko wypełniła całe jego spojrzenie. Zaszurał nogami pod stołem, łyknął mleka i zapytał zmienionym głosem:

— To po coś pan, panie redaktor, tutaj przyjechał? To was chłop, co kraj żywi i ubiera, nic nie obchodzi, tylko jakaś wredna kulfa?

— Panie Rychlik, wszystko po kolei. Proszę mi powiedzieć, co się stało.

— Jak to, co się stało! To że jakiś bębniorda dostał po uszach, to od razu cały kraj wie i się interesuje, a że biednemu chłopu gnój w ryj to nikogo nic, tak panie redaktor? Ech, wy tam w tym Wasserburgu, co was tam obchodzi, wam tylko gwizdać sobie w ucho i tak by, a weźże pan, panie redaktor...

— Panie Rychlik, ja naprawdę nie mam pojęcia co się stało. Proszę mi spokojnie powiedzieć, ja postaram się zrobić cokolwiek w mojej mocy...

— Cokolwiek, cokolwiek, a potem od pitrasa do kutasa, ja to już znam panie redaktor! Ech, że też tam, a co was tak te bumbiszony ciekawią? Co? Panie redaktor? Co tu o nich wiedzieć, weźmie takiemu coś we łbie bumbnie, to i zacznij ludziom ciszę psuć. No i co więcej? A bo to mało takich, co im uszy poprzewracało? Ech tam, panie redaktor, szkoda z panem gadać, pan to taki ważny pan a jak coś ważnego, to... ech...

— Panie Rychlik, ale skoro już tu jestem...

— Weź pan, idź pan, panie redaktor, po co pan w ogóle jesteś. Po co te wszystkie redakторы i te gazety! Na co to komu, tylko potem pod kuchnię i z dymem, ot i cały interes. Ale nie, wam to bida nie, to i po co kiedy... weź pan idź pan, panie redaktor... idź pan zajmij się tą swoją kulfą, patrz go Bečka, kulfy przyjechał szukać...

Deja vu! Idąc przez wioskę zobaczyłem kostycznego dziadka ciągnącego za sobą drugiego suchego jegomościa zaczesanego na pożyczkę. Dziadek już zaczął znajomym gestem podnosić rękę, by wycelować we mnie palec, a we mnie zaczęło podnosić się ciśnienie. Palec wskazał mnie bezwzględnie, zanim zdążyłem skuteczniej rejteradę. Poczuję się jak rozstrzelany. No cóż. Drugi Rychlik?

Jegomość, dla którego dziadek ustrzelił mnie palcem, okazał się być znacznie młodszy i spokojniejszy od Rychlika. Nie był też zaczesany na pożyczkę i nie miał euforycznych, bladych oczu.

— Moje uszanowanie, Kulebiak jestem.

— Klawesjusz Grypski, witam. Panie Kulebiak, proszę wybaczyć ale chciałem porozmawiać z kimś, kto zna tutejszych bębniistów...

Kulebiak rozwarł paszczkę w szerokim zębatym uśmiechu.

— Dobrześ pan trafił! Zapraszam do siebie.

No nie wiem, czy dobrze. Nosaty dziadek z palcem snajpera puścił do mnie oko i coś pokazał na migi, co zaniepokoiło mnie trochę. No ale dobra, jakby co, wysłucham kolejnego biadolenia.

Podwórko prawie puste. Usiedliśmy na szczęście na zewnątrz, na ławie zwyczajowo ustawianej przy drzwiach wejściowych. Nie miałem ochoty przedzierać się przez kolejne otchłanie wnętrzości domostwa.

— To co pan chcesz o nas wiedzieć?

Aha! Więc jednak trafiłem na bębniistę. Myślałem że będzie to prostsze, ale w końcu doszło do skutku. Na podwórku nie dostrzegłem jednak słupa... No dobra, co chciałem, to mam. Żywy okaz. Do dzieła.

— Panie Kulebiak, od jak dawna jest pan bębniistą?

— Z dziada pradziada!

— Pana rodzina też?

— Jak najbardziej.

— Nie miał pan nigdy nieprzyjemności z tego powodu, że jest pan bębniistą?

— A jakie tam nieprzyjemności!

W tym momencie poczułem w głowie świszczącą pustkę. O czym z nim gadać? O co pytać? Jego prosty wyraz twarzy i bezpretensjonalny sposób bycia po prostu mnie wyczyścił. Chciałem, żeby się gość spontanicznie rozgadał, a on tu sobie siedzi na przyzbie, zadowolony z siebie i z życia, nie przejmując się w ogóle niczym i nikim, niuchając zapach nadchodzącego obiadu i myśląc... o czym?

— Mówi coś panu nazwisko Krzywicki?

— A mówi.

- Podobno został napadnięty, kiedy bębnił.
- A został.
- I co pan na to?
- A co ja mogę na to?
- Nie wie pan, dlaczego tak się stało?
- A co że się stało? Dobrze mu się stało!
- Dobrze???
- Pewnie, że dobrze! Nachalny był, to dostał. Dobrze dostał.
- Pana to cieszy?
- A co ma nie cieszyć?

Nie ukrywam, że trochę mnie zamurowało. Cieszy go? No cóż, ludzie są tylko ludźmi, może gość miał coś do Krzywickiego i teraz ma *schaden freude*. Miałem jednak wrażenie, że bębniści trzymają się razem niezwykle solidarnie, a ta ich solidarność jest wręcz legendarna. Obiło mi się o uszy, że nawet w przypadku ciężkiego sporu każdy prędzej da sobie rękę uciąć, niż pozwie do sądu ziomka-bębniście. A tu proszę, najnormalniej w świecie jeden bębniśta cieszy się, że drugiemu ktoś porachował kości.

— Panie Kulebiak, trochę mnie pan zdziwił. Pobili pana kolegę, człowieka tego samego brzmienia, a pan się cieszy?

— Panie, jakiego tego samego? Te drapibębny nazywasz pan takimi samymi? Oouuch, panie, co pan ucha nie masz! Ja panu zaraz pokażę jak się bębni...

Heniek zdrowo się uśmieł, jak opowiedziałem mu przy okazji o swoich przedpołudniowych przygodach. Uświadomił mi, że nie każdy z bębniem to taki sam bębniśta – niby prawda, wiedziałem o tym wcześniej, ale nie spodziewałem się, że akurat w tej wiosce mieszka też trochę takich, co bębnią, ale nie na słupie, tylko w domowym zaciszu. Ewentualnie jak ktoś poprosi, to i publicznie, czemu nie. Ba, nie mają nawet czasem nic przeciwko temu by zasiąść do perkusji przy okazji niektórych świąt w Echonii. Bardzo się nie lubią z bębniśtami-słupnikami. Jedni drugich i vice versa. Choć ideę muzyczną mają nieomalże kubek w kubek.

— Klawciu, ja widzę bidaku, że ty sobie nie radzisz. Ty lepiej wracaj zająć się sportem. We wsi aż się roi od bębniśtów, a ty nijak trafić na nich nie możesz. Ja ci w sekrecie tylko powiem, że jedynym sensownie bębniętym w ucho jest w tej wiosce Jontek Kugiel. On pewnie chętnie z tobą pogada. To nawet całkiem do rzeczy facet, choć bębni równo, że aż mi czasem chce się bębnać go tu i ówdzie. Zapewne łatwo go znajdziesz, tu się wszyscy znają. Tylko nie zapomnij wrócić przed piątą, może będziesz mi potrzebny. No i nie pożałujesz.

- Heniu, przemyślałem sprawę. Nie idę na żadną szopkę.
- Idziesz. I nie nazywaj tego szopką.
- W nic się nie będę przebierał, nikogo nie zamierzam udawać!
- Nie udawaj. Ale musisz tu być.
- Być to będę...
- No i o to mi właśnie chodzi.

Jontek Kugiel mieszkał cośkolwiek na uboczu, gdyby nie wściekle niebieski dach jego domu prześwitujący przez zieleń drzew, chyba bym się cofnął, uznawszy że droga wyprowadzi mnie dalej już tylko na pola. Liczyłem się z tym, że nikogo nie zastanę – w ogóle wieś robiła wrażenie totalnie wymarłej. Mijałem zupełnie puste podwórka, ulicą nikt nie przechodził. Wszyscy na polu? Niby lato, ale jeszcze nie żniwa. Pewnie trzeba by łapać ich w niedzielę. Ewentualnie pójść tam, gdzie jakiś aktywista akurat siedzi na słupie i bębni, poczekać aż zejdzie i spróbować pogadać. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że o ile wczoraj było tu sporo ludzi, to dzisiaj wszyscy pojechali na targ. Zostały same niedobitki w postaci

Rychlika, Kulebiaka i nosatego dziadka. No i może jeszcze kogoś. Wczoraj zamarudziłem w echonii... mogę mieć pretensję tylko do siebie.

O dziwo, dom z niebieskim dachem okazał się być zasobny w domowników. Po podwórku biegała gromadka pięciorga dzieci. Grubaśna jejmość siedziała na przyzbie z tak szeroko zadowolonym wyrazem twarzy, że sprawiała wrażenie jakby zamiast głowy miała na szyi pękniętego w poprzek arbuza. Dla kontrastu, przeraźliwie patykowaty jegomość przewracał stertę gałęzi, starych desek i innych drewnianych śmieci, odkładając na bok te, które najlepiej nadawały się na opał. Miał przy tym tak ściśnięty wyraz twarzy, jakby ktoś mu ją zapiął na suwak. Moje pojawienie się na podwórku zauważyła zażywna kobitka w chustce na głowie, która podeszła i zapytała, kogo szukam. Nie miałem szczęścia. Kugielowie gdzieś pojechali. Podwórko było pełne rodziny mieszkającej po sąsiedzku. Bębniści? A idźże pan! To tamci bębnią, reszta zdrowa! Gdzie by tu bębniaków szukać? Dzisiaj nigdzie, panie, chyba że wieczorem, oni wszyscy mają teraz jakiś spędy, za nimi nie nadążysz, raz bębnią że się ziemia trzęsie, a raz znowuż wcina ich gdzieś i ani dudę, gdzie też ich ciągnie to niech ich krzywy akord strzeli, bumbole głuche jedne, panie jaki z nimi tutaj klops to wierz mi pan, niech byś pan raz mieszkał z nimi po sąsiedzku to byś pan aż uszami świecił...

Zaświeciłem uszami i zrobiłem w tył zwrot w kierunku echonii. Zabrałem się za robotę zupełnie od końca, myśląc, że przyjdę sobie do takiej wioski jak na mecz, siądę wygodnie, rzucę okiem na sytuację przed sobą, na skład drużyn, na warunki pogodowe, i będę od razu wiedział co nawijać. Ja właśnie za to kocham sport, a w szczególności banton. Wszystkie reguły są niezwykle jasne, a jednocześnie każdy zawodnik ma pełną możliwość indywidualnego wpływu na przebieg gry. Gra się jednocześnie sześcioma puotkami, nigdy nie wiadomo co się wydarzy, najlepsze akcje są właśnie wtedy, gdy na jednego zawodnika przypadnie wyczepienie sześciu puotek na raz. To jest finezja! Tu się pokazuje indywidualność każdego, siła talentu, treningu i strategii przemyślanej co do najdrobniejszego szczegółu przez trenera. Przeciętny obserwator widzi zwykle tylko grupę bezwładnie biegających facetów wywijających trzymanymi farminetami, co jakiś czas zastygających w bezruchu i czekających, aż właściwemu zawodnikowi przypadnie wyczepić puotkę. Ale zorientowanemu kibicowi jawi się prawdziwa uczta dla oka, zaś dla znającego się na rzeczy komentatora jest to prawdziwa poezja! Nikogo jednak nie trzeba szukać i ciągnąć za język, nikt do nikogo nie jest uprzedzony, emocje są czystymi, jasnymi i uczciwymi emocjami, gniew, wściekłość i rozczarowanie są zdrowe i czytelne, zachwyt i radocha z wygranego spotkania są szczerze do bólu, dają pełne, chrupiące oczyszczenie i czerstwą satysfakcję. Za to właśnie kocham ten sport. Za jego uczciwość, która będzie uczciwa zawsze, nawet jakby każdy sędzia był przekupiony, a każdy mecz – ustawiony. Bo wtedy to widać. Nie da się tego niczym zamaskować. I nawet wtedy ewidentne i jasne draństwo jest widoczne jak naleśnik na patelni i nie ma żadnych wątpliwości co do tego, kto kogo chce oszukać. Wtedy też i emocje są zawsze konkretne i nie udawane. Wtedy też kibice pieniący się na trybunach pienią się szczerą wściekłością, skierowaną słusznie przeciw draństwu, które próbuje wkraść się w szlachetną atmosferę sportu. Tak jak płamę na złotej koronie od razu widać i nie sposób nikomu wmówić, że to zamierzony efekt, tak też i w sporcie każde draństwo od razu się daje rozpoznać i budzi szczerze, stosowne do okoliczności emocje. Za to kocham sport. I dlatego też zawsze do sportu wrócę.

Tymczasem wracam do echonii.

Elegancki samochód w słomkowożółtym kolorze, zdaje się że Breester, stał w cieniu kasztanowca, dumnie piętrzącego się na dziedzińcu echonii. Oho! Mamy gości. Pora była chyba już najwyższa. Zawahałem się – wiać, czy wchodzić w tę szopkę? Chyba jednak wiać, a w każdym bądź razie, stanąć z boku. Zapewne właśnie teraz trwa oficjalne rozczulanie się nad dostojnym przybysem. Heniek zdrowo mnie nastraszył swoim zamiarem wciągnięcia mnie w jakieś ceremonie, miałem z nim przykre doświadczenia jeszcze ze szkoły, a zdążyłem zauważyć, że pod pewnymi względami wcale a wcale się nie zmienił. Zrobiłem w tył zwrot spod drzwi trybautni i odmaszerowałem w byle jakim kierunku.

Byle jaki kierunek zaprowadził mnie przed wrota echonii. Spojrzałem w górę na trąbnicę. Była w starym, dobrym stylu, jeszcze prosta i strzelista, bez dzisiejszych uduziwnień. Można mieć wstręt do trąbki, ale trudno nie lubić tego subtelnego stylu, w jakim budowano stare echonie. Dzisiaj architekci na siłę starają się zarys budynku wtłoczyć w fantazyjne, powyginane kształty, namolnie asymetryczne i abstrakcyjne. Wychodziły z tego przysadziste, ciężkie konstrukcje, przypominające – no cóż, poczynię świętokradcze porównanie – świeżo zrobioną kupę. Trąbnicę usiłuje się współcześnie za wszelką cenę upodobnić do zatkniętej ustnikiem w ziemię trąbki, co jest nie tylko bardzo kosztowne w budowie, ale też w efekcie kiczowate. No i ten złoty kolor elewacji... Zdumiewa mnie, jakim cudem Echonia Trąbicka uzyskuje pozwolenia na budowę takich szkaradziejstw!

Kawałek ładnej melodii... Czy naprawdę nie mogłoby to wszystko kręcić się po prostu wokół przyjemnej muzyki? Czy trąbnice nowych echonii koniecznie muszą być w kształcie trąbki, a ich gmachy przypominać coś, co przenigdy z nosa nie wyjdzie?

Zacząłem spacerować wokół gmachu. Bryła echonii miała bardzo lekką formę, wyglądała trochę jak wypiętrzająca się bańka mydlana, mająca za chwilę oderwać się od ziemi i odlecieć. Mnóstwo ogromnych okien w kształcie kropki, ostrym końcem skierowanych ku dołowi, potęgowało wrażenie lekkości. Przypory boczne podtrzymujące ściany przy odrobinie wyobraźni mogłyby uchodzić za odnóża monstrualnego pająka, ale były tak wkomponowane w kształt gmachu, że prawie w ogóle nie rzucały się w oczy. Zatoczyłem koło i wróciłem przed wejściowe wrota, do podnóża trąbnicy. Ta była masywna, potężna, lekko zwężająca się ku górze, zwieńczona bryłą przypominającą turban, zakończoną spiczastym dachem. Na samym szczycie wszystkimi kolorami tęczy mieniła się elektra, poniżej której, mniej więcej w połowie podtrzymującej ją iglicy, umieszczono Brzmiący Wieniec. O ile kształt elektry zawsze mnie zachwycał swoją finezją, o tyle ów wieniec był dla mnie królem kiczu. Wiedziałem, że w pierwotnym zamyśle architektów poniżej elektry na iglicy nie miało być żadnych wieńców, że w ogóle Echonia nie posługiwała się symboliką wieńca przez dobrych kilkaset lat swego istnienia. Dopiero w czasie jakiejś unowocześniającej reformy, kiedy kilku konkurujących ze sobą *maestro fideli* doszło ze sobą do porozumienia, jako symbol ich jedności przyjęto właśnie emblemat wieńca, zwanego szumnie Brzmiącym Wieniec. Historia historią, coponiekąd mniemają jednak, iż prawda wyglądała o wiele banalnie. Kilku owych *maestro*, owszem, miało się spotkać i dojść do porozumienia, kończąc odwieczne spory, czyj styl jest bardziej brzmiący. Jednak wcześniej, podczas bardzo nieoficjalnego spotkania, owych kilku mistrzów po prostu solidnie się spało, zaś następnego dnia, gdy doszło do oficjalnej konfrontacji, mieli takiego kaca, że gotowi byli zgodzić się absolutnie na wszystko, byle tylko okoliczności pozwoliły im wrócić do domów i walnąć się na powrót do łóżka. Osobiście tę nieoficjalną wersję uważam za najbardziej prawdopodobną. Z całym szacunkiem dla *maestrów*, ale skądinąd nie uważam, żeby jakiegokolwiek porozumienie między mistrzami brzmienia było choć trochę możliwe.

Zapadał zmierzch. Myśląc o ładnej melodii zacząłem coś nucić. Nigdy mi to nie wychodziło, nie miałem szans niczego zaśpiewać tak, by słuchacz w ogóle zorientował się, jaki to kawałek, dopóki nie skojarzył tekstu. Mnie to jednak nie przeszkadzało. Muzyka brzmiała w mojej głowie, nie potrzebowałem do niej czułych uszu. Ładna melodia... Jeżeli muzyka miałaby się spełnić, to musiałaby chyba zachwycić absolutnie każdą rozumną istotę szurającą piętami na tym padole, a to przecież nierealne. Niezły gips... pokręcił się człowiek dwa dni wśród zatrąbionych w bęben i już gotów brać ich na poważnie...

Ładna melodia pluskająca mi pod czupryną, wypełzła na wierzch i zafalowała w powietrzu obok. Z początku myślałem, że to skutek przemęczenia, że mam omamy, ale okazało się, że naprawdę słyszę to, co przed chwilą sam sobie nuciłem w myślach. Tyle że ja nuciłem sobie to, jako grane na wiolonczeli, a teraz brzmiało jak... trąbione? Nie, przywidziało mi się. Powiał chłodny wietrzyk i zabrał mi moją melodię. Czar prysł, przydałby się cieplejszy sweter. Moja melodia... Czy to wszystko nie mogłoby do reszty kręcić się po prostu wokół dobrej muzyki? Po co komu te wszystkie spełnienia, te brzmienia odwieczne i prawdziwe, jedne słuszne, drugie właściwe, trzecie prawidłowe... Czy muzyka nie mogłaby być po prostu muzyką, przyjemnym przeżyciem, przyprawą do życia, pozwalającą jakoś strawić zwykle nie najlepszą przecież rzeczywistość?

Nie, nie mogłaby. Uświadomiłem to sobie wspomniawszy dziki wzrok niektórych wielce zasłuchanych, jaki widywałem na ich twarzach podczas różnych okazji, gdy rozmowa spęzła na muzykę. Nigdy nie chodziło im ani o melodię i jej piękno – choć niektórzy upierali się przy pięknie – ani nawet nie szło nikomu o Spełnienie, którego na dobrą sprawę nikt na poważnie nie oczekiwał. Ba, nikt nie miał bladego pomysłu na to, co też owo Spełnienie mogło oznaczać, czym do reszty miało być! Każdemu się spełni, brzmi wspaniale, każdy jeden przez drugiego z pianą na hołubionym instrumencie o Spełnieniu wykrzykiwał, ale żadnemu nie zaświtało ani trochę w uszach, co mu owo Spełnienie przyniesie. Mistrzowie sensualni wypowiadali się o tym zachowując najwyższy poziom zagmatwania, co miało swój sens – szeregowi wsłuchani nie kapowali ani słowa, za to byli dumni, że „to takie mądre rzeczy” się do nich mówi... Nie, nikomu nie chodziło o Spełnienie, w które nikt nie wierzył i nie brał na serio. Chodziło o wartość. Tu nie muzyka – ale idea zasłuchania, tudzież hołd dla instrumentu wykonawczego – to nadawało tym ludziom poczucie własnej wartości. Poczucie bycia lepszym – bo wsłuchanym! Ludzie nie mający nic innego do zaprezentowania, bądź nie znajdujący dowartościowania w tym, w czym rzeczywiście byli wartościowi, jako wartość najwyższą obierali swoją orientację muzyczną. Zupełnie nieistotne były gusta i upodobania, zupełnie nieważne jak bardzo niektórzy nudzili się w echonii słuchając jak jakiś dyletant piłuje blachę. Wsłuchanie w trąbkę dla większości ludzi nie polegało na słuchaniu muzyki, tylko na słyszeniu jej w echonii. Tak! Muszę swoje odsłuchać, a jaki to ma sens, to pies go chrapa!... Ale spróbuj tylko

zasugerować, żeby jeden z drugim sam sobie wybrał, czego będzie słuchać i przez co mu się spełni... niepodobna! Człowiek zmieniający brzmienie musiałby zaprzeczyć wartości wszystkiego tego, co do tej pory ową wartość mu nadawało. Musiałby uznać, że wszystkie te otrąbiny, na których cierpliwie przesiedział w echonii tyle godzin, że trum pochody, na które grzecznie uczęszczał, że dźwięki którymi napychał sobie uszy – że to nie było to! A jakże to tak – zabić w sobie coś, co do tej pory tak miło łechotało moje ego, coś co pozwalało w każdej chwili poczuć się być „tym po właściwej stronie”? Ba, a na dodatek presja otoczenia. Dopóki jesteś z nami i słuchasz tego co my... tfu, przepraszam — dopóki s ł y s z y s z to co my – to jesteś nasz, to jesteś ten dobry, ten w porządku, ten „swój”. Ale spróbuj, by ci się coś odwidziało... Tym sposobem brzmienie przechodziło z dziada pradziada jak gipsowa figurka. Nie ważne, że gips, nieistotne, że takich figurek na kopy, że kosztują śmieszne grosze na każdym bazarze. Nie ważne, że ta figurka w ogóle mi się nie podoba, że się kruszy i farba z niej obłazi, że najchętniej bym ją furgnął gdzieś w kąć – Nie! Nie mogę, bo musi ona stać na honorowym miejscu w mym domu, tak by każdy kto mnie odwiedza widział, że ją mam. Nie mogę jej wyrzucić, bo ktoś napisał na niej flamastrem „cenne”. Najcenniejsze. Najważniejsze. I nie chodzi o to, że mi nikt by nie dał za nią złamanego centa, chodzi o to, że ja muszę tę figurkę c e n i ć, muszę ją hołubić, muszę ją wielbić, muszę ją mieć choć na nią patrzeć nie mogę! Bo jeżeli ją wyrzucę, to tracę jedyną rzecz, którą mogę postawić na piedestale... Dlatego ciągle ją na nim trzymam, bo nie mam nic innego, co mogłoby mi ją zastąpić! A jakbym nawet zastąpił – to całe mnóstwo ludzi powie „Coś ty zrobił! Coś ty wyrzucił! Coś ty tu nowego postawił!” Musiałbym zaiste być bardzo pewnym wartości tego czegoś, co by miało mi zastąpić ów gipsowy artefakt na jego dotychczasowym tronie. Ewentualnie, bezwartościowość tego bibelotu musiałaby zacząć mi doskwierać, przeszkadzać, kłuć mnie w bok na tyle mocno, bym zdobył się na odwagę na tyle mocną, by to gipsowe truchło, tą imitację wartości – wziąć i wyrzucić.

Ja ją wyrzuciłem. Nie bolało. Zrobiło mi się wtedy lekko, tak lekko że wzięła mnie ochota by – paradoksalnie – zatrąbić z radości! Ten delikatny, uskrzydlający ciężar bytu poczułem również teraz, patrząc na strzelistą trąbnicę, zwieńczoną kiczowatym wieńcem, wyglądającym trochę jak bocianie gniazdo. Tak, ty możesz mi się po prostu podobać, albo i nie, przynajmniej ja niczego udawać nie muszę.

Za moimi plecami ktoś westchnął i zachrypiał. Rzuciłem okiem przez ramię. Nosaty dziadek stał z zadartą głową do góry i podobnie jak ja, kontemplantował trąbnicę.

— Ładna, nie?

— Ano ładna, ładna...

Geramidarego poznałem przy śniadaniu. Dość późnym śniadaniu, bo wcześniej Wielki Dostrojnik zaliczał poranną kontemplację w *tromphosanctum* i zeszło mu się nieco. Nie wypadało zaczynać bez niego. Timavictus siedział z nami krótko i tylko dla towarzystwa, z rana cierpiał na niestrawność i nie jadał śniadań. Szybko przeprosił i poszedł ganiać perliczki. Zabawny był z niego dziadunio. Ekstremalnie krótkowzroczny i zapewne przygłuchy, podejrzewam że nawet nie dotarła do niego wiadomość, że jego echonia poza Geramidarym ma jeszcze jednego, znacznie skromniejszego gościa – czyli mnie. Mimo wszystko reprezentował bardzo sympatyczną formę zaawansowania wiekowego, przypominając wyglądem dobrego czarodzieja z bajki na dobranoc. Geramidary natomiast nie wyróżniał się absolutnie niczym. Przeciętnie łysy, przeciętnie otyły facio w średnim wieku, gdyby nie tęczowa toga z gronostajową delią, nigdy bym go nie podejrzewał o jakiegokolwiek stanowisko. Śniadanie upłynęło w milczeniu, w bardzo oficjalnej atmosferze. Był tu cały, nazwijmy to, personel echonii, udało mi się jakoś zginać w tłumie stworzonym przez kilku pomniejszych trąbonitów w szarych strojach. Siedzący obok mnie, znajomy mi już blondasek, nawet mnie nie zagadnął. Sucho, sztywno i oficjalnie. Po śniadaniu Heniek podreptał za Geramidarym, „służąc mu we wszelkich potrzebach”, szary personel natychmiast gdzieś wcięło. Jak dobre duszki z trąbką w uchu... Postanowiłem i ja zabrać się za obowiązki służbowe.

Tym razem znalezienie bębniaków okazało się banalnie proste. Skręciłem na pierwsze lepsze podwórko, na którym z daleka widać było wysoki słup kłujący w niebo. Przywitały mnie zaskoczone miny pięciorga dzieciaków. Każde miało zawieszony na szyi dziecinny, kolorowy bębenek. Najmłodsze skrobało po swoim instrumencie pałeczkami, udając że zajada zupę. Najstarsze tłumaczyło coś jednemu ze średnich braciszków, nerwowo przy tym postukując pałeczką w swój bębenek. Dwoje pozostałych wlepiło we mnie bładoniebieskie oczy, nieruchomiejąc jak surokatki. Zanim się odezwałem, na ganek wyszedł młodo wyglądający gospodarz. Uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem, troszkę na zasadzie – chyba wiem, chyba rozumiem, no niechby wreszcie choćby i teraz... Przedstawiłem się dosyć sztywno, po drętym śniadaniu byłem towarzysko wybitnie skostniały. Zupełnie nieprofesjonalne podejście... Ale on wyraźnie poweselał!

— A, żeś pan mnie nastraszył, już myślałem że pan za tym knurem... Siadaj pan, Wiunak jestem, Lechu Wiunak. Jak żeś pan wszedł, to myślałem, żeś pan za tym... a ja teraz to z tym knurem... ech...

— Knurem?

— Knurem. Nie ważne, dobrze, że to nie pan. Żeś pan gadał już z Krzywickim? On chętnie pogada. Tyle że nie teraz. Wyjechali. Należały im się wakacje. Nie, nic mu nie jest. Nawet jeżeli, pan nas nie zna, panie redaktor, nas nikt nie zna. O nas się pisze, o nas się mówi, ale nas się nie zna...

— Chciałbym to trochę zmienić...

— Nie zmienisz pan... nie masz pan szans zmienić.

— Aż tak źle?

Westchnął. Nie, nie o to chodzi, że źle. To nie tak, żeby miało być źle. Powiedzieć należałoby inaczej. Że trudno. Że nie w ten sposób. Ludzie będą mówić swoje, będą wiedzieć swoje, a to co on może zrobić, to co oni mogą zrobić, to tylko to co robią, bo tu robić można tylko jedno.

— Bębnić?

Bębnić. Tak, panie redaktor. Bębnić. Tylko jak pan to naprawdę usłyszysz, tylko jak pan sam zabębnisz, zrozumiesz pan. Nie, nic na siłę. Bębnić im trzeba. Ja wiem, że dla pana, panie redaktor, to brzmi śmiesznie i niedorzecznie. Że to na siłę. Nie, to nie jest na siłę. No weź pan się sam zastanów, jak przekonać do muzyki, nie grając jej? A że im się nie chce słuchać? To kiedy im się zachce? Nigdy się nie zachce, więc bębnić trzeba bez względu na to, co się komu i kiedy zachciewa. Bębni się nie tylko dla nich. W ogóle się nie bębni dla nich! Bębniemy tylko dla siebie i dla muzyki. Słuchaj pan... przyjdź pan najlepiej wieczorem. Usłyszysz pan, a ja panu powiem, jak słuchać. Nie, nie zrozum mnie pan źle, nic mnie do tego, co pan trąbisz, co pan skrzypisz, ja nie w ten akord... Przyjdź pan, bo wtedy słyszeć. Teraz głos się nie niesie, bębni tylko stary Wabaszek, on jakoś tak w południe lubi. Nie, panie redaktor, bębni się wtedy, kiedy się chce, ile się chce, tak, naprawdę... No, ale też chcesz pan coś wiedzieć...

Postanowiłem zadać mu kilka podręcznikowych pytań. Jak to u nich jest z tym lataniem? Dlaczego żaden z nich za żadne skarby świata nie wsiądzie do samolotu?

Panie redaktor! A jak to jest, że każdy, jak już o coś pyta, to właśnie o latanie? Widzisz pan, panie redaktor, a tu właśnie po tym widać, kto tu muzykę i brzmienie ceni. Zobacz pan, co byśmy bez powietrza usłyszeli? Nic! Dźwięk w powietrzu się niesie, powietrze dźwiękowi służy, a nadto życie podtrzymuje. Żyje ciało, żyje muzyka! Świętokradztwem w powietrzu latać, bo nie na to dane zostało, by zachłannej podróży służyć.

— Wszak ptaki latają...

One latać muszą, by żyć, by kotu spod pazurów uciec! Nam skrzydeł nie dano, lot nam nie pisany. A i muzycznie one nieświadome! Jakiegoż szacunku dla muzyki od nich wymagać? Jakie im spełnienie?

— Wszak ptaki śpiewają...

Komu śpiewają? Sobie śpiewają. Żony szukają. To im się spełnia. Muzyka ich śpiewu w nasze uszy leci, my się nią cieszymy, dla nas ona piękna! Dla nich to tylko wabik, kokieteria ptasia, by gniazdo założyć, by pisklęta mieć, by rywali płoszyć. A jak już pan o ptaków lataniu mówisz, to patrz pan, ich skrzydła muzyki nie ranią! Nie tną dźwięków śmigłem, nie krają melodii blaszanymi lotkami! Szmer ich piór to sama muzyka, ale to my tę muzykę słyszymy! I to my muzykę szanuję, szanując powietrze, nie rwąc go na strzępy hurkotem śmigieł, hukiem odrzutowym...

— Szybowce nie hałasują...

Toteż i my latawce puszczaemy. Ale latać szybowcem, nie latamy, bo jak można drogą jechać, statkiem płynąć, to trzeba właśnie tak, a nie samolubstwu swemu folgować, byle szybciej, byle prędzej! Szybowcem, zresztą, nie doleczysz pan tam, gdzie pan chcesz, tylko tam, gdzie pana wiatr rzuci. Więc szacunek dla powietrza tym większy, jak go pan dla rozrywki lubo dla samolubstwa nie nadużywasz.

— Dlaczego uważacie, że tylko bęben? Nie dałoby rady wspólnie zagrać, może wtedy wszystkim się spełni?

Wspólnie zagrać? Że tylko bęben? Panie redaktor, przecież pan wiesz, co innego grać, a co innego spełniać. Wam wszystkim tak naprawdę dzisiaj jeno skrzypce grają, niczego innego poważnie się nie

traktuje. A tu nie o grę chodzi, tylko o muzykę, o tę muzykę, o spełnienie! My nie to, żeby grać, nam o to, żeby spełnić...

— Echonia mówi to samo. Pasujecie do siebie...

Mówi to samo, ale nie gra tego samego. Niechby nie tylko miała dobrze mówić, ale jeszcze dobrze grać.

— Ale dlaczegoż tylko bęben? Czemu na słupie? Czemu skaczecie ze słupa?

O, widzisz pan, panie redaktor, teraz zadajesz pan konkretne pytania. A co było pierwsze, jajo czy kura? Nie wiesz pan. A co było przed kurą i przed jajem? Muzyka. Z niej wzięło się wszystko. Brzmienie świat utworzyło. Zabrzmiał Akord Wielki i błyskawicę bytu zapalił. A od czego płomień się bierze? Od iskiarki małej. A od czego dom wielki się zaczyna? Od kamienia na fundament. Proste czyni złożone, nie na odwrót. Dźwięk pierwszy i najszczęszy bębniem zabrzmieć musiał, bo nie masz prostszego brzmienia.

— Ale czy proste brzmienie mogło powołać do istnienia świat złożony?

Panie redaktor, a cóż my wiemy o prostocie pierwszego brzmienia? Popatrzeć możemy tylko na to, co z niego wynikło. Resztki echa jego znać i czuć dookoła. Bęben żywy w uchu siedzi i słyszeć nam pozwala, to co ręka na bębnie martwym, skórzanym, zagra.

— Trąbkę też w uchu mamy...

Aleć grać ta trąbka nie może! Panie redaktor, mówisz pan tak, jak każdy jeden sensualius zbywać nas próbuje i od wsłuchania się w bębni werbel wzbrania. Czemuż pytasz pan, panie redaktor, skoro odpowiedzi na wszystko swoje masz?

— Panie Wiunak, no a co z tym knurem?

Roześmiał się, choć miałem nadzieję, że go zaskoczę albo przynajmniej z lekka zgaszę, facet przybrał już pozę patriarchalnego kaznodziei, tylko rozjuszona na wietrze brody mu brakowało – widmowy wzrok gorejących oczu już począł ciskać prorocze płomienie – ale zamiast przygasnąć, po prostu się roześmiał. Efekt był jednak ten sam, gość spuścił trochę z tonu proroka. Klepnął się w udo – pan swój chłop jesteś! Chodź pan! Poczęstował mnie winem własnej roboty. Niezłe było, zwykle takie samoróbki paskudnie cuchną piekarskimi drożdżami, ale to, co mi wlał w musztardówkę, było naprawdę znośne. Zważywszy jeszcze fakt, że ja wybitnie nieczęsto zanurzam usta w jakimkolwiek alkoholu... Panie Grypski – mówi – pan musisz zejść do nas wieczorem. Taa, ja rozumiem, nie będzie się panu chciało, ale jakbyś pan naprawdę chciał coś załapać z tego wszystkiego, to my panu coś pokazemy. Nie, nie ma stracha, naprawdę, my nie tacy jak o nas głupoty ludzie plotą. Pan redaktor jesteś, ja wiem co ja mówię, pan chcesz wiedzieć, pan się dowiesz. Zapraszam. Teraz muszę iść, robota nie zając, ale gonić ją trzeba czasem prędzej, niż zająca...

Za bramą wpadłem na chudego chłoptasia. To raczej on wpadł na mnie, wywinął orła, podniósł, otrzepał się, po czym złapał mnie za rękaw i mówi – chodź pan! Zaraz, chwilę, co, gdzie, jak, co to ma być tak zaraz – chodź pan! Ale chłopak, z tępowym wyrazem twarzy, patrzy na mnie bez cienia zmieszania, trzepie eleganckie spodnie – i dalej twardo – chodź pan! Moment, no ale gdzie i po co – tupet chłoptasia zaniepokoił mnie, ale też troszkę rozbawił. Panie! Pan nie udawaj, żeś pan chciał gadać, no to choć pan... — Chwilkę, ale kim pan jest... Panie, ja nie mam czasu, pan nie masz czasu, choć pan, nie gadaj pan, pan mnie nie znasz, ja wiem kto pan jest, wystarczy, ojciec czeka a ja na ryńpał jadłem i muszę być, więc choć pan na motor, podwożę... no choć pan!

Jasna kaszana, co mi szkodzi! Podwórko było inne niż zwykle. Puste. Dom lśnił od wmontowanych w elewację lusterek, układających się w kwiatowe wzory. Czas przyćmił nieco ich blask, ale dało się dostrzec, że lusterka są dwukolorowe. Oprócz lusterek, w tynku tkwiło mnóstwo kolorowych szkiełek z rozbitych butelek. Chłoptas wysadził mnie na środku, po czym bez słowa kopnął w motor i odjechał. Na ganku pojawił się rozanielony gospodarz. Zerknąłem na tabliczkę z numerem posesji, pod którym ustawowo nakazany zwyczajem, widniało nazwisko właściciela. Niejaki Winczak. Zabrzmiało znajomo...

— Panie redaktor, naprawdę dobrze, żeś pan do nas przyjechał! — pękaty jegomość o szerokiej twarzy rozparł się na krześle, siorbiąc subtelnie gorącą herbatę. Widać było po nim siłę charakteru. Potężne bary, kłujący wzrok, zaciśnięte usta. Przypominał mi trenera Jańcę, opiekuna reprezentacji Biedrzyńca, swego

czasu mistrzowskiej drużyny ze wschodniego regionu. Mieli szansę na międzynarodowe mistrzostwa, ale zabiło ich trenerskie parcie na ambicje. Jańca ich po prostu wykończył, nie tolerował żadnej chwili słabości, nie pokazywał żadnej ścieżki rozwoju, tylko kopął obiema nogami w tyłek, wyzywając się na każdym, kto nie sięgał wyżynom jego ideałów. Kilkunastu znakomicie zapowiadających się zawodników skutecznie wyleczył z jakiegokolwiek zainteresowania sportem. Ci, co dłużej z nim wytrzymali, nabawili się ciężkich kompleksów. Do dziś można poznać zawodnika, który miał z nim jakąś styczność – człowiek taki wyspany jest ze wszelkiej inwencji własnej, umie tylko słuchać poleceń. Dobre w wojsku, nie w sporcie. Jańcę w końcu jakiś mądry odesłał na emeryturę. Dobrze się stało. Ale ja jakoś od tego czasu nie lubię takich twardych, trenerskich typów. Mimo że staram się nie ulegać uprzedzeniom.

— Panie redaktor, ja panu coś powiem, ja panu to powiem teraz, zanim się pan głupot nasłuchasz. Bo głupot, to się zawsze pan nasłuchać zdążysz, głupoty same w ucho lecą, a ja panu powiem tak, jak jest. No nie tak? Pan o Krzywickiego pytać przyjechał. Ano, pytać trzeba, tylko trzeba też wiedzieć, kogo pytać. A tu trzeba najpierw mnie pytać. Bo ja wiem, co o Krzywickim gadać...

Nie słucałem go. A raczej słucałem na tyle tylko, żeby napotkawszy stosowny, krótki moment wyczekiwania, wtrącić do dyskusji potakujące „mhmm”. Jedyna reakcja, której oczekiwał mój interlokutor. Z góry wiedziałem, co chciał powiedzieć.

— Bo co nam pozostało, panie redaktor, poza tradycją! No powiedz pan! Nic! Nic!

Winczak zamasyżuje siorbnał po ostatnim „nic” herbatę, aż mu w nosie zagrało. Wszystko dla mnie było jasne. Grzecznie potakiwałem.

— Ale pan musisz wiedzieć, że na takich bębniętych w mózg to się coś w końcu znajdzie. Nie, żebym ja komu groził, ale słuchaj pan uważnie – zniżył głos – będzie coś takiego, że im ten bęben zabębni na ich własnym tyłku! Zobaczysz pan, panie redaktor! I nie będzie o czym do gazety pisać, bo to tak im zabębni, że każdy usłyszy! Nawet głuchy pień usłyszy!

Pomyliłem się w jego ocenie. To nie był człowiek mocnego charakteru. Miał tylko aparycję bulteriera, ale szkielet ratlerka. Jego rozbiegane oczy i to, że w gruncie rzeczy unikał mojego wzroku, mówiły aż nadto. Ludzie, jakże ja miałem już dosyć tych wszystkich spotkań z tymi grubasami o falującym spojrzeniu...

— Panie redaktor, pan musisz wiedzieć, że trąbka zawsze przetrwa, pan jesteś chyba tego świadom, panie redaktor...

Po raz pierwszy utkwiał we mnie wzrok, tak jakby rzucił hasło i czekał na odzew, na ostateczne potwierdzenie – swój, czy wróg. Dla niego istotne było bardzo, czy ja nieodwołalnie będę po jego stronie, czy przeciwko niemu. Czarne i białe jak dnie i noce, bez poranku i bez zmierzchu, z północy od razu w świetliste południe, a niech bym tylko miał nie okazać się synem promiennego południa! Niech bym miał nie zareagować prawidłowo na hasło, niech bym miał okazać się być po przeciwnej stronie, niechby tylko mój odzew nie pasował do rozkazu, och, niechby tylko... wyczuwałem ten jego niepokój, że przecież nie rzucił swego hasła wystarczająco wcześniej, że ja mogę przecież być nie-ten-co-trzeba, być tym który jest nie-ten-swoj, jako ktoś, z kim trzeba rozmawiać inaczej, a najlepiej – nie rozmawiać w ogóle!

— Panie Winczak, no właśnie, jest pan tutaj dobrze zorientowany w sytuacji, pan wie co i jak. Podobno Krzywickiego ktoś ściągnął ze słupa... to prawda, że chłop znalazł się w szpitalu?

Nie doczekał się odzewu. Zawahał się przez moment, jakby chciał powtórzyć hasło. Jego spojrzenie przez chwilę poszukało czegoś za oknem, aż wreszcie twardo wbiło się we mnie.

— A pan, panie redaktor, dochodzenie jakieś robisz? Ćwiokły jakiej pan węszyć? Ćwiokła to tu jeszcze będzie, panie pismak, i to jaka ćwiokła! Nie będziesz pan jej węszyć, bo ona sama zadymi tam gdzie trzeba! Tyle że uważaj pan, panie redaktor — tu Winczak pochylił się nad stołem w moją stronę, jakby chcąc mnie przypląszczyć nie tylko spojrzeniem, ale i bogatym w aromat kiszzonego ogórka oddechem — jak pan, panie redaktor, będziesz wachać nie z tej strony, co trzeba, to panu nie zapachnie, tylko zacuchnie!

Widok wiejskiej echonii stał się dla mnie już dziwnie swojski. Zwykle bardzo szybko przyzwyczajam się do nowych miejsc. Wystarczy, że gdzieś raz zanocuję i już czuję się tak, jakbym mieszkał w tej okolicy od dziecka. Piąłem się teraz po raz kolejny wzwyż, w górę drogi prowadzącej na wzgórze. Doszedłem do

wniosku, że jakkolwiek temat bębna i trąbki zaczyna mnie niezmiernie nudzić, to chyba mimo wszystko będę miło wspominać wizytę w Zakrzewicach...

Wnętrze echronii, ciemne, choć jeszcze wieczór nie nadszedł, było zupełnie puste. Zawsze mnie dziwiło, dlaczego tak po prostu zostawia się otwarte wrota, ale to chyba właśnie dla takich wolnych strzelców jak ja... Panowała tu dziwna, nieco upiorna atmosfera. Jak nic, zaraz mi się spełni, pomyślałem zgryźliwie, czując lekkie mrowienie w kręgosłupie, przechodzące powolną falą aż do łydek. Usiadłem. Chyba w końcu przysnąłem, gapiąc się na sklepienie...

Obudził mnie zgrzyt otwieranych drzwi. Z trumpatium wyszedł dyskretny orszak nieco przygarbionych postaci. Utykającą, przygiętą do ziemi sylwetkę Timavictusa poznałem od razu. Stanęli półkrygiem pod trąbolitem. Nie zabłysły światła, tam gdzie stali półmrok był akurat największy, ale udało mi się rozpoznać zarówno Heńka, jak i Geramidarego. Poza nimi było jeszcze trzech młodzików, zupełnych chłoptasiów. Jeden z nich trzymał szary, pękaty futerał. Geramidary zdecydowanie przewodził ceremonii, kilkoma władczymi gestami rozdzielił obowiązki. Zwyczajowo podczas każdej ceremonii w echronii nie porozumiewano się za pomocą słów. Żaden obcy dźwięk nie mógł „zanieczyścić” eterycznej ciszy, przeznaczonej dla muzyki jedynie...

Szary futerał nie wyglądał na taki, co by miał w sobie kryć trąbkę. Mimo to wydobyty zeń instrument zdecydowanie był trąbką, ale najdziwniejszą, jaką widziałem. Poza ustnikiem i kielichowatym wylotem, dziwaczna trąbka posiadała coś jakby brzuch pękaty, z kilkoma kolczystymi wyrostkami. Troszkę tak, jakby zwykła tuba chorowała na elephantiasis... Najmłodszy, niziutki i filigranowo zbudowany chłoptas wstał na trąbolit i przyklęknął, rozłożywszy ramiona na boki jak skrzydła i opierając głowę o stojący tam postument. Zawsze mi to przypominało gest pokłonienia się skazańca przed toporem kata... Geramidary ujął „trąbkę”, wniósł na trąbolit i położył na postumencie, na specjalnie przygotowanej w tym celu podstawie. Okrążył chłoptasia i zszedł na dół, po czym cały orszak zasiadł kręgiem na specjalnie przygotowanych miejscach, zajmowanych przez uczestników ceremonii. Poczułem się trochę nieswojo... być może o tej ceremonii mówił Heniek – nie wyglądało to wszystko na zwyczajowe otrąbiny – ani nie ta pora, ani nie ta okoliczność... chciałem się cichaczem wydostać, ale uświadomiłem sobie, że dając dyla przez główne wejście narobię więcej szumu, niż siedząc sobie tu cicho i spokojnie...

Mrok robił się coraz gęstszy, ale nikt nie zapalił najmniejszego światełka. Chłoptas klęczący na trąbolicie opuścił ramiona, podniósł się, wziął instrument i zaczął grać.

Nie zabrzmiało to jak tandetna, blaszana trąbka. Dziwne, ale nie zabrzmiało w ogóle jak trąbka. Z początku właściwie wydawało mi się, że młodzieniaszek tylko trzyma ją przy ustach, zastanawiając się, kiedy rozpocząć. Ale w pewnym momencie wyczułem dźwięk w powietrzu. Zaczął się sączyć wprost w moją głowę, przenikał tak, jakby nie potrzebował w ogóle moich uszu, by się pojawić w mojej świadomości. Wpływał sobie we mnie subtelnie, owiewał mnie jak ciepły wietrzyk... Nie, to chyba musi być złudzenie. Nie mogłem uchwycić żadnej konkretnej melodii, bardziej czułem, bardziej domyślałem się, że ktoś gra, niżbym miał to słyszeć. Chłoptas stojący na podwyższeniu podniósł instrument bardziej w górę.

Ktoś zapalił światło. Nie, nie zapalił, to tylko mnie się nagle wydało, jakby wewnątrz echronii stało się jaśniejsze. W zasadzie nie brak mi beczelności, ale doszedłem do wniosku, że lepiej będzie jak czmychnę w stronę bocznej rewerbni... Zacząłem się przesuwając dyskretnie, mając nadzieję, że dostojne grono siedzące wokół trąbolitu nie dostrzeże nieproszonego słuchacza...

Dźwięk stał się nagle bardzo wyrazisty. Teraz już nie miałem wątpliwości, że wydobywa się z cudacznego instrumentu, w który dmuchał z coraz większym zaangażowaniem stojący na trąbolicie młody grajek. Zaczęła docierać do mnie melodia, falująca, drżąca melodia, bez wątpienia wydawana przez instrument dęty.

Nigdy wcześniej nie przypuszczałem, że muzyka może mnie dotknąć. Dotknąć literalnie, fizycznie. Już miałem dyskretnie chycnąć w bok, w zakole bocznej rewerbni, ale nie dało rady, wrosłem w ziemię. Młodzieniec podniósł dziw-trąbkę jeszcze wyżej, zaczął głośniejsze grać – albo to ja nagle zacząłem go wyraźniej słyszeć, sam już nie wiem. Każda słyszana przeze mnie nuta wydawała się być skierowana bardzo indywidualnie, wręcz akurat w odpowiednie miejsce na moim ciele – odbierałem melodię i czułem, jak pełźnie mi po plecach, owija się wokół szyi i spływa po ramionach, a wreszcie lekko łaskocze w piętę. Zupełnie zaskoczony, stanąłem jak wryty. Młody artysta nie pozwolił mi wręcz wejść dalej, zrobić kroku w bok, osadził mnie w miejscu i przykuł do podłoża, wygrywana melodia otaczała mnie i osaczała jak boa dusiciel, muskając mnie jednocześnie dotykiem rajskiego ptaka. Ktoś wrzucił dźwięki w moje ucho jak kamyki w dziuplę. Poczułem, jak w moim wnętrzu zaczyna drgać napięta struna, jak jakiś pazur delikatnie

ale dotkliwie szarpie za tę strunę, jak brzdąka na niej coraz śmiej, jak tych strun pojawia się coraz więcej i więcej.... Szponiasta dłoń poczęła tańczyć po mnie jak po żywej harfie, a ja nie mogłem nijak zaprotestować, zresztą wcale nie chciałem... Poczułem że po moim grzbiecie przebiega rozpedzone stado, przetacza się huragan i trzęsienie ziemi... Moje stopy zapuściły korzenie i sięgnęły do serca ziemi, i teraz czułem jego miarowe bicie i powolny obrót... otoczył mnie ciepły mrok, przez który przeplatało się chłodne, mroźne światło, każdy jego promyk wnikał we mnie i zaczynał krążyć w żyłach. Światło piło moje życie wlewając się we mnie przejmującą falą, aż wreszcie zrozumiałem, że to nie światło, że to melodia brzmi w powietrzu i wnika we mnie, i krąży w żyłach, i że moje życie to nie ciało i krew tylko dźwięk i słuch, że zamieniam się sam w rozedrganą substancję, która gra i wybrzmiewa, która żyje z każdą frazą, która umiera i się rodzi w cyklu kolejnych, następujących po sobie tonów...

Echonia rozkwita. Po krawędziach okien zaczęły pełgać małe iskierki, potem płomyki, zaczęły rozwijać się w jaśniejące obłoczki, zakwitwały bladoniebiesko, by wreszcie pęknąć na złoto. Srebrzyste wykwity węzowym ruchem wpełzły na posadzkę, ściany i sufit. Otoczyły mnie, a raczej przeszły przeze mnie. Promienie wplotły się w mrok, przebijając go i tnąc na plastry cienia. Poczułem, że wypełniam echonię, że ocieram się o ściany, okna, sklepienie, że rozpuszczam się w powietrzu i staję się nim, powietrzem falującym, muskającym wszystko dookoła. Zacząłem widzieć wszystko z każdej strony, tak jakbym cały stał się swoim wzrokiem. Tymczasem melodia dalej mnie przenikała, przemieszała się ze mną, grała mną, drgałem nią, odbijałem się echem od sufitu nurkując w dół ku posadzce, by znów odbić się od niej i rozproszyć echem w każdym kierunku, by skupić się w zagłębieniu rewerbni i pomknąć rezonansem w stronę okien.

Wszystko wybuchło nagle i niespodziewanie. Powietrzem wstrząsnął chór gardłowych tonów, wyciągających nuty przez całą rozpiętość słyszalnej skali. Potężne, rozciągające się od podłogi po sklepienie okna echonii poczęły jaśnieć pulsującym pożarem, aż wreszcie światło, wpychające się przez nie, runęło do środka powolnym wybuchem. Płomyki, jakby ulepione z gęstego miodu, zaczęły napierać na wnętrze, na przestrzeń, aż w pewnym momencie czymś jakby powstrzymane, zastygły, falując nerwowo. Po chwili, gdy dźwięki gry rozpedziły się do granic słyszalności, nie cichnąc bynajmniej, lecz sprawiając wrażenie, jakby moje uszy rozpaczliwie pragnęły za nimi nadażyć, wtedy właśnie płomienie okien zaczęły cofać się na zewnątrz, jakby uciekały przed czymś, kryjącym się tu w środku. W końcu poczułem, że wszyscy jesteśmy już nie w echonii – tylko poza nią, gdyż zewnętrzny świat skurczył się do rozmiarów ciemnej klitki, do wymiarów kieszeni surduta, szytej tak, by nic prócz tabakierki nie mogło się do niej zmieścić. To my, to echonia była światem, a świat — ciemnym, ciasnym i mizernym bytem zaciśniętym w pięści rzeczywistości...

Przed echonią migały światła pogotowia ratunkowego. Była już piękna wieczorna szarówka, słońce dawno zaszło, ale resztki jego światła jeszcze tańczyły po niebie. Wynoszono zemdlonego Timavictusa, kilka osób biegło dookoła nerwowo i bez celu, a Heniek stał obok i szarpał mnie za ramię. Był cały rozpalony.

— Słyszałeś!

Nigdy nie sądziłem, że zwariuję. Ale że wszyscy dookoła jak na komendę tracą zmysły? Że Timavictus zemdleje, to było do przewidzenia. Że jak zemdleje, to trzeba wzywać pogotowie, bo w jego wieku to nie są żarty, też było dla mnie jasne. Ale czerwona twarz Heńka i wyraźnie sfiksowani trąbonicy, galopujący dookoła już nie w nerwowym truchcie, ale w szalonym cwale, to było dla mnie z lekka za wiele.

— No mów! Słyszałeś! Słyszałeś to, nie?

Byłem dziwnie spokojny. Troszkę jakby na kacu. Pająku nie tup... Heniek szarpał mnie coraz mocniej, a ja chciałem się w tym momencie po prostu napić herbaty. Nie miałem na nic siły. Herbata... Nie wymyślono w całych dziejach cywilizacji ludzkiej nic bardziej cudownego od gorącej mocnej herbaty...

— Człowieku, mówże, słyszałeś, musiałeś!

— Heniek, nie szarp mnie...

— Stary, nie udawaj, nie strugaj wariata, musiałeś słyszeć, widziałem, że słyszałeś!

— Heniek, muszę się czegoś napić...

— To się napij z kałuży! Mów, słyszałeś?

— Słyszałem.

— I co?

Popatrzyłem na niego najbardziej na świecie zmęczonym wzrokiem. Jego rozjuszona czupryna tańczyła w rytm tego, jak dreptał koło mnie, dziki wzrok zdawał się drapać mnie po twarzy...

— Nic, Heńku. Słyszałem. I nic poza tym, że słyszałem... Daj mi teraz spokój...

— Nie możesz powiedzieć, że nic! Czy ty wiesz, co ty słyszałeś? No wiesz, co?

— Wiem. To ona. Puść mnie.

Heniek puścił i popatrzył na mnie zupełnie zbaraniały. Po chwili, zgodnie z moimi przewidywaniami, zrobił się najnormalniej wściekły. Nie dałem mu jednak szansy wybuchnąć, miałem serdecznie dosyć wszystkich wariatów. Zrobiłem w tył zwrot. Kątem oka zobaczyłem, że poza mną i sanitariuszami pogotowia jest tu jeszcze jeden spokojny człowiek. Nosaty dziadek. Stał nieopodal i gapił się w niebo. Odwróciłem się do Heńka bokiem i pokazałem mu go.

— On też słyszał...

Heniek opanował się. Przez chwilę patrzył gdzieś tępym wzrokiem, aż wreszcie uśmiechnął się jakby przepraszająco.

— Chodźmy to opić... ja stawiam...

Śniadanie jedliśmy w kuchni. Nie było oficjalnego posiłku z Geramidarym, który zwinął się zaraz po nadzwyczajnych otrąbinach. Timavictus leżał w szpitalu nie odzyskując przytomności, ale nikt nie zadawał żadnych zbędnych pytań. Echonię rzadko kiedy nęcano pytaniami z powodu zasłabnięcia sensualiusa, wiek ma swoje prawa i już. Zasłabł na posterunku. Heniek udawał, że wszystko jest po staremu i jak najbardziej w porządku, zabraknie Timavictusa, przyjdzie Bimavictus, może jeszcze starszy, jeszcze bardziej głuchy niż poprzednik, a co za tym idzie, będzie tu jeszcze sympatyczniej. Ale w pewnym momencie nie wytrzymał.

— Klawciu, słyszałeś ją... nie wymawiaj się, słyszałeś! Widziałem Cię i dostrzegłem, że nie tylko słyszałeś, ale i u s ł y s z a ł e ś...

Wzruszyłem ramionami. Tak, słyszałem. Owszem, również u-sły-sza-łem, choć nie wiem jaka to niby ma być różnica. Jak najbardziej, nie twierdzę, że wczoraj nic szczególnego się ze mną nie działo, ale cały wniosek, jaki z tego wyciągam to taki, że ktoś mi dosypał czegoś do herbaty albo wśród grzybków, jakie Winczakowa postawiła wczoraj na stole, znalazł się jeden taki, co się nie powinien tam znaleźć... ot i cała historia.

Zasmucił się. Widać to było po nim wyraźnie. Nie chciało mi się o tym rozmawiać. Mogłem to przewidzieć. Atonalny Heniek, nagle jakimś cudem coś go wzięło i wsłuchało. Nie będzie z nim rzeczowej rozmowy. Nie ma szans. Heniek też najwyraźniej najadł się kiedyś nie tych co trzeba grzybków, tyle że zapił je zbyt bogato syconym miodem i nie skojarzył faktów. Zatrąbiło mu w uszach i teraz paraduje w fioletowym wamsie szukając spełnienia. No i niech mu się spełni, a mnie uspokoi! Czy obaj nie możemy mieć tego, czego nam do szczęścia potrzeba?

— Klawesjusz, zawiodłem się na tobie. Słyszałeś, i zaraz to uchem wypuściłeś. Grzybki. Ja też, myślisz, jadłem grzybki?

— Heniek, ta rozmowa nie ma sensu...

— Klawesjusz, ty myślisz, że ty przyjechałeś tu przez przypadek?

Nie, jasna kakofonia, nie przez przypadek! Jestem tu na służbowym urlopie. Heniek, ludzie, trzymajcie mnie, bębniście, trąbcie, ale dajcie na siebie spojrzeć chłodno i obiektywnie... Ja mogę przeżywać ekstazę i rąbnąć sobie celem wspomaganie dobrą ćwiartkę, ale dlaczego ta ćwiartka, grzybki, ziółko czy jakie inne *novus ordo* ma urabiać mi melodykę na resztę życia...

— Klawciu, dobra, weźmy to na chłodno, w na skrzypcową nutę. Zobacz, kogo tu ciężkie basy przygnały. Ja, człowiek potrafiący zafałszować najprostszy takt, siedzę teraz we wsiowej echonii i wprawiam w zdumienie każdego dawnego znajomego, który co tylko o mnie usłyszy, to brzęczy jak pęknięty kapodaster „Heniek w echonii, Heniek w echonii!” Dziwne? A żebyś wiedział! Jedziemy dalej.

Skąd w tej wiosce się wzięło największe zgromadzenie bębniaków? Dlaczego mamy ich tu aż trzy rodzaje, na których dwa zdążyłeś już trafić? Dlaczego działały tu się hece, z których jedną – niejaki Boćko – pobieżnie znasz, o drugiej właśnie masz coś napisać, a o trzeciej się nie dowiesz, bo nie powinieneś, wewnętrzna sprawa Echonii, ale musisz mi uwierzyć na słowo, że była heca o której po prostu lepiej, żeby nikt nie wiedział? I nie polegała ona bynajmniej na tym, że ktoś najadł się za dużo grzybków wątpliwego pochodzenia... Klawciu, to nie koniec. W tutejszych hecach utonąłbyś, za przeproszeniem, po uszy – w przenośni i dosłownie. A wreszcie przyjeżdża tu Geramidary i przywozi ze sobą coś, na czym nikt zagrać nie umiał i nawet nie podejrzewano, że coś takiego jakiś dźwięk z siebie w ogóle wydać może. A tymczasem jeden z naszych szaraczków, który powinien być dawno przyobleczony w złoto, przytyka to dziwadło do ust, po czym Timavictus mdleje, w echonii pękają wszystkie szyby a ty – tak ty – koziołkujesz po całym sonarium, a potem udajesz, że nic się nie stało? I mówisz mi o grzybkach i o herbacie? Klawesjusz, nie rozśmieszaj mnie!

Musiałem się przejść. Spacer zawsze dobrze mi robił. Uprawiałem kiedyś marszobiegi, ale z czasem, wstyd przyznać, rozleniwiłem swoje kości. Mimo to zawsze dawałem się wyciągnąć na przechadzkę. Koziołkuję po sonarium... dobre sobie... i co, żadnych siniaków? Ech, Heniek... ty też jadłeś grzybki na obiad?

A szyby?

Wiatr. Przeciąg. Pogoda. Trzęsienie ziemi. Zmęczenie materiału. Cokolwiek.

Pochmurne od rana niebo rozpodziło się nieco. Park znacznie poweselał. Leżałem pod bukszpanem, po słonecznej stronie gościnnego ogrodu, na tyłach trybautnii. Już wiedziałem, co zrobię, a raczej – czego nie będę robił. Niech się wszystkie dzienniki wypchają sensacją. Zbiorowe fiksum-dyrdum-hyziom w Hurnych Zakrzewicach? Ha, to nawet nieźle brzmi. Nie ważne, kto w to uwierzy...

Ciche szuranie po trawie zmałoło mój spokój. Bezsensowna obawa, że mnie ktoś rozdepcze zmierzwiła mi trochę sierść na skroniach, ale okazało się, że to ktoś szura po drugiej stronie żywopłotu. Słumione mamrotanie. A było ich dwóch... trzech?

— ...

— Nie, wasza dostrojność...

— Już nie bądź taki oficjalny. Żaden?

— Żaden, na pewno...

— Krótko i na temat.

— Oczywiście.

Słomkowo-złoty Breester stał w cieniu kasztanowca. Deja vu, wczorajszy dzień nastał i rozkwita w blasku zaszłego dawno słońca... Geramidary? Heniek wpadł na mnie wyskoczywszy zza rogu, powstrzymałem go niechcący w jego dzikim pędzie, spojrział na mnie zaaferowanymi oczyma, pognął dalej, ale zrobił w tył zwrot i wrócił.

— No stary, będziesz mieć dzisiaj temat!

— Nie rozśmieszaj mnie, Heniek, jeszcze jakaś szopka?

Heniek zamachał rękami zupełnie na poważnie i wskazał na stojący w cieniu drzewa samochód.

— Mamy naszego gościa z powrotem... to nie szopka, Klawciu, nie tym razem.

Złapał oddech, pogładził rosnącą łysinę, podrapał się za uchem. Timavictus nie żyje, wiesz? Wiadomość z ostatniej chwili. Geramidary był przy nim, dziadunio na chwilę przed tym, jak poszedł na Wieczny Koncert, ocknął się i coś wyśpiewał. Dosłownie! Timavictus śpiewał tak, że połowa personelu na oddziale może to z pamięci zanucić! Geramidary wrócił. Klawciu, nie masz po co jechać do Wasserburga. Za pół godziny zbierze się siedmiu dostrojnych. U nas jeden już jest, reszta wkrótce dojedzie, właśnie za jakieś pół godziny będzie komplet. Nie będzie wielkiej pompy, ale zejdzie się na pewno jak raz cała wieś... o przepraszam, nie cała... w końcu bumbnięty jest prawie co trzeci... ale oni są na prawdę bez znaczenia, niech sobie bębnią...

— Nie zabębnią wam imprezy?

— Rób sobie żarty, rób, Klawciu...

— Zaraz, zaraz, nie mów mi, że cały Krąg Baleoński zjedzie się tutaj tak po prostu, dlatego że jakiś dziadek przed śmiercią zaśpiewał, a w miejscowej echonii popękały szyby?

— Jeden zatrąbił, drugi zaśpiewał, a trzeci – wycelował we mnie znacząco palec – zatańczył! Klawciu, mówi ci to coś?

— Nie.

— Szkoda. Powinno. Ale nie ma to znaczenia. Bezgłosy i opuszczony zagra, atonalny zatańczy a głuchy zaśpiewa, powietrze pęknie a blask rozkwitnie, brzmienie kryształ rozproszy i byt celu swego dokona. Klawciu, jest ich siedmiu. Onych też jest siedem. Znalazł się wreszcie i siódmy, nazwijmy go kolokwialnie, grajek. Nasza echonia jest siódma. Ostatnia. Zdążyłem też sprawdzić na mapie, że jest najważniejsza. Sześć pozostałych tworzy wokół nas krąg. Nieregularny, ale nie będzie nikt go mierzył sznurkiem. W sześciu pozostałych już popękały szyby... W naszej ma zabrznieć! Klawciu, wszystko wskazuje na to, że już. Właściwie nie ma się co śpieszyć... Wpadniesz posłuchać? Chyba podobało ci się wczoraj? A, zresztą, i tak będzie słycać w całej okolicy...

Chłodny wieczór smagnał mnie ciemnym powiewem po kościach. Jontek Kugiel zamknął starannie bramę, po czym skinął ręką w kierunku ogrodu. Tam! Spodziewałem się komitetu powitalnego, ale nic podobnego. Parę drzewek owocowych, sterta gałęzi, kompost, stosik cegieł, oraz stara, od lat nieużywana studnia. Zajrzałem. Woda w niej jeszcze była! Cichy wieczór. I co, nikogo prócz nas? Kugiel pokręcił głową – nie ma po co. A jak się spełni? – nie umiałem powstrzymać ironii w uśmiechu. — To się spełni wszystkim. Jeszcze dalej. Zimno, co? Ano zimno...

Słup stał w dziwnym miejscu. Zwykle stawiali go na podwórku, blisko domu, bódł w niebo jak piorunochron, tyle że znacznie niższy. Ten zlewał się z brzoźowym zagajnikiem, oddzielającym owocowy sad od łąki. Mizernie czerniał na skraju ścieżki, zupełnie jak zapomniany kołek w płocie, tyle że o parę metrów za wysoki jak na potrzeby ogrodzenia. Ha, chyba rozumiem, ten słup to taka jakaś kwarantanna chyba, żeby nowicjusz nie zabębnił źle na uszach całej wioski, to sobie ćwiczy tutaj... ale co tu ćwiczyć? Kugiel zdjął z ramienia torbę i wyciągnął bęben. Proszę!

— I co? Może jakiś instruktaż?

— Nie potrzebny. Zobaczysz sam...

— Ale ja to, znaczy się... po prostu tak... tak jakoś?

— Tak, tak jakoś!

Jego nad wyraz szczery, może nawet rozbawiony uśmiech trochę mnie rozluźnił. Zarzekłem się tylko, że skakał nie będę. Uśmiechnął się na to jeszcze szerzej. Zaskoczył mnie. No dobra, idę.

Zawsze lubiłem chodzić po drzewach. Dawały komfort spoglądania z góry na rzeczywistość. Pozwalało to też nabrać dystansu do biegnących swoim torem, przyziemnych wydarzeń. Zatrzymywało czas. Kiedyś, jadąc na górnym pokładzie piętrowego autobusu, widziałem wypadek. Starszy mężczyzna przechodził przez jezdnię, niosąc torbę truskawek. W pewnym momencie uderzył go skracający samochód... rozległ się głuchy grzmot, a na asfalt wytoczyło się półtora kilograma czerwieniutkich owoców... widziałem wszystko w przeraźliwie zwolnionym tempie, tak wolnym, że w pewnej chwili wydawało mi się, że oglądam muzeum figur woskowych... leżący na wznak staruszek, pochylający się nad nim przechodzień, stojący obok Kamakashi, najpopularniejszy i jedyny samochód, na jaki wtedy było stać w tym kraju kogokolwiek... no i te truskawki. Już ich nikt nie zje... podepczą je przechodnie, rozjadą samochody. A dziadek je kupił dla babci, dla wnuczka... A teraz się zmarnują... Stojący obok kierowca właśnie już rozdeptał jedną, kiedy wychodził z auta. Czas się zatrzymał. Wiozący mnie autobus trwał w swoim pędzie, brał właśnie zakręt – to było zresztą rondo – ale ten jego pęd i odczuwana w związku z nim siła odśrodkowa zastygła nagle, stała się namacalnym wręcz przedmiotem uwierającym mnie w plecy. Trwająca wówczas chwila zdawała się być wyrzeźbiona w wyjątkowo grząskim kwancie czasu. Truskawki płakały, wysypane na asfalt... Zupełnie nie było mi żal rozbitej szyby samochodu, jakoś mało przejmowałem się nieuważnym dziadkiem, choć to przecież jego było w tym wszystkim najbardziej szkoda, ale kobierzec małych, bezbronych owoców, przemieszanych z odłamkami rozbitej w pył samochodowej szyby rozdzierał mnie na strzępy rozpaczy... Czas nadal biegł, ale jego bieg przestał być

zjawiskiem, a stał się przedmiotem! Tak jak pęd autobusu biorącego zakręt... Rzeczy i wydarzenia zamieniły się miejscami. Truskawki, płaczące na asfalcie...

Stuknąłem pałeczką w bębenek. Blaszany, tępy dźwięk. Stuk-puk! A może by tak inaczej? Zaskrobałem w membranę... Powiał wiatr. Zaziębię się. Stuk-puk! Drap-drap! Wiatr wieje. Żywiej? puk-puk-pukapukapuk... Jak oni to robili w wojsku? Jakoś tak jeden przez drugiego? Rrrum-bum-bum? Nie, nie na tym sprzęcie. Zaszuram pałeczką znowu...

Zaszurało coś pode mną. Myślałem w pierwszej chwili, że to Jontek. Spojrzałem w dół – nie, nigdy nie miałem lęku wysokości, przynajmniej nie takiej... – Kugiel siedział pod słupem po turecku, z założonymi rękoma za głowę. Zaszurałem ponownie. Zaszurało coś obok... Echo? Kropnąłem z całej siły, zapominając o ostrożności – bębenek był wprawdzie tandetny, no i też nie była to moja własność... ale wytrzymał. Nic. Wiatr ucichł. Zapukałem w membranę ostrożnie. Powiał znowu. Zacząłem miarowo i monotennie stukać, raz jedną, raz drugą pałeczką. Stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk... ad infinitum...

Wiatr przybrał na sile. Zaczął mnie opływać jak woda. Zdawało mi się, że jego powiew przylepia się do mnie, otula mnie, zamiast mną potrząsać, zamiast mnie chłostać... stukałem w bębenek miarowo, rytmicznie, monotennie, a wiatr zdawał się odpowiadać mi na rytm, uderzając mnie lekkimi falami... zacząłem urozmaicać stukanie pałeczkami, pukapuk-pukpuk, pukapuk-pukpuk, a on jakby uśmiechnął się do mnie, powiał ciepłej. Ratatam! Ratatam! – spróbowałem energiczniej, ale wiatr się tym nie zraził...

Zdumiony zauważyłem, że stoję na ziemi. Nie! Wrastam w ziemię korzeniami, moje gałęzie zamiast kotysać się na wietrze, pulsują w rytm uderzeń jak włosy meluzyny... rozchodzą się po nich fale mojego werbla, tańcem odpowiadają mi na każde uderzenie pałeczki... nie ma już słupa, na którym siedzę, wrósł we mnie i zakorzenił się, a ja spoglądam na pole, skąpiane stłumionym światłem zachodu, spoglądam na nie z perspektywy dębu stuletniego, rosłego, rozłożystego, tańczącego nie na wietrze, ale razem z wiatrem! To ja nadaję rytm jego powiewom, to mój werbel porusza chmury na niebie, to moje uderzenia szarpia je i ugniatają, wycinają w nich kształty i zawijasy! To ja, skrobiąc pałką po membranie bębna kruszę ziemię i wołam po imieniu tkwiące pod jej skórą głowy, to ja każę im podskakiwać i pulsować, to ja mogę nadziać je na pałeczkę i cisnąć poza horyzont...

Na wschodzie, na dalekim horyzoncie rozblęsnęło światło. Przyciągnąłem do siebie horyzont. Na falach werbla podpłynął do mnie i zobaczyłem, że to płonie Echonia. Jaśnieje swym złym, zazdrosnym światłem, wypuszcza je jak macki, powoli, po kolei z każdego okna, aż w końcu rozwarła paszczkę swoich wrót i wysypał się z niej tłum. Tłum światła! Omiatam wzrokiem jej gmach z każdej strony i widzę sześciu trębaczy skierowanych w sześć stron świata. Na szczycie trąbnicy stanął siódmy, *micromere maestro*, dobrze znany mi z wczorajszego koncertu. Dobrze znany? Płonał diamentowym, kłującym blaskiem. Okrążyłem echonię miarowymi stuknięciami, flankując ją ostrożnie z każdej strony. Stojący na trąbnicy *maestro* dostrzegł mnie, tak samo jak ja dostrzegałem jego – mimo dzielącej nas przestrzeni... przycisnął mocniej trelutnię do ust i zaatakował przeciągłą, długą jak włócznia nutą. Nie czuć było po nim już nawet krzty nieśmiałości i zaleknienia... totalna metamorfoza... mimo iż nie powinienem go na dobrą sprawę nawet dostrzec, to wydawał się on górować na widnokregu niczym olbrzym, kłując mnie promieniami wytrąbianych nut. Puszczal je we mnie jak strzały, jak oszczepy... Odpowiedziałem energicznym werblem!

Z wnętrza Echonii, podążając za światłem, wysypała się gromada wsłuchanych. Na ich czele zamaszystym krokiem sunął Heniek, wznosząc w górę episonię. Podążał za nim szereg akolitów niosących kolejno klucz, elektre, trympinolię i bukpusz. Ustawili się w formację przypominającą grot strzały, po czym ruszyli w dół zbocza. Za nimi wałał tłum, wypluwany miarowo przez gardziel Echonii. Dostrzegłem Winczaka, a raczej jego wzrok wielokrotny, bo jego twarz i jego posturę przybrała nagle każda postać sunąca w tym tłumie... Spojrzenie jego, zwielokrotnione przez tłumną mnogość, błysnęło ku mnie hardo. Echonia tymczasem jarzyła się, jęcząc swój blask na okolicę, sącząc go jak jad, jak lawę... wyrzuciła swój grzbiet niczym pajak, po czym naprężywszy odnóża, plunęła światłem i tłumem w moją stronę. Ale ja byłem już jak góra, porośnięta pulsującym w rytm werbla lasem, tętniącym lasem, dudniącym lasem... Fala światła i tłumy uderzyła w podstawy mej góry, opłynęła mnie dookoła i klasnąwszy z impetem zamknęła się za mną. Cofnęła się, by po chwili klasnąć we mnie ponownie. Ha! A jednak ja nadaję tu rytm! Klaszcz sobie we mnie, klaszcz! Przywołałem wiatr, który posłusznie runął naprzeciw świetlistym falom, pieniąc ich brzegi. I dał wiatr, i cofał się przed nim fale, by – spiętrzywszy się ostatecznie – runąć ponownie i oklasnąć mnie dookoła. I znów wiatr pchał je przed siebie, spiętrzał i puszczał, by targnęły się ku mnie jak uprzednio, by znów się cofnąć, by znów się targnąć. A ja triumfowałem, bo to był mój rytm!

Echonia nie dawała za wygraną. Zmieniała taktykę. Kokietowała mnie blaskiem, głąskała migotliwym płomieniem muzyki, wcinała się podstępnie pomiędzy uderzenia moich palców, próbując wyciszyć mnie, popsuć mi rytm, oblec mnie w bezdźwięczny puch, wygłuszyć filcem swojej melodii przeciągłej, głąskała mnie po karku, łaskocząc w grzbiet dłoni. Widziałem każdą jej nutę, sunęły w powietrzu tęczową barwą, bordowe niskie tony ocierały mi się o łydki jak rasowe koty, zielone sopranowe smugi przelewały mi się przez ramiona a żółty alt pulsował wokół mnie na kształt świetlistego jacuzzi. Niepostrzeżenie granatowy bulgot tubalny stanął mi za plecami, gotów zadusić...

Znów powiał wiatr. Silny wiatr. Zadał wreszcie jak wichur i usłyszałem, że nie jestem w nim sam. Z pobliska zaczął towarzyszyć mi werbel – jak sądzę, Wabaszków, a zaraz po nich łomotliwy grzmot starego Strychny (zapewne), zaś na wschodzie w sukurs przyszedł (chyba) Józwa i Huraś... Czułem ich tylko, rosłem ich siłą, podtrzymywali mój rytm, którym biłem wraz z wiatrem coraz wytrwalej.

Echonia puściła wodze wściekłości. Armia dźwięków siedmiu trelutni natarła na mnie ofensywą brzmienia, falując z oceaniczną wściekłością, uderzając zajadłym *staccato*. Czułem, jak falami flankuje mnie furia neurotycznego, urywanego *frullato*, która napływając gdzieś z boku wwiercała się we mnie z zajadłością hordy tropikalnych termitów. Zarazem też jednostajny, duszący dźwięk dał we mnie z przeciągłością syreny, a towarzyszące mu, napastliwe fanfary kłuły mnie w uszy krótkimi, urywanymi seriami. Aż ruszył spode mnie tłum i stał się z pochodem trąbiących dźwięków, aż ziemia pękła i połknęła kłębowisko dźwięków, wysysając je jak potężny *maelstrom*...

Potem zrobiło się dookoła szaro. Bury grzmot przeciągły rozmywał wszystko dookoła, kruszył dźwięk i mełł nuty w żarnach mrukliwego łoskotu, tak jakby ktoś trzask suchy rozwlekł w czasie w nieskończoność, w trzasku owym zatapiając wszystkie słyszalne i niesłyszalne dźwięki. Aż trzask zatkał mi uszy, rozmył wszystko, wypluł pomyje rzeczywistości w przestwór niebytu i zasunął za nimi nieciągłą mgłę wycichłej kakofonii.

Poranek był chłodny, lecz suchy. Poprzewracane drzewa i pozrywane dachy tarasowały drogę, dookoła żywego ducha. Dotarłem jakoś do samochodu. O dziwo, on jeden jakby w ogóle nie ucierpiał. Stał dokładnie tam, gdzie zaparkowałem po przyjeździe, w cieniu dychawicznej leszczynki rosnącej na tyłach GS-u. Piach podwórka przed sklepem był gęsto przetykany resztkami niegdyś całych i czemuś służących szkielec, ale nie były to okruchy rozbitego lusterka. Lusterko w samochodzie miałem całe. Z rozbawieniem stwierdziłem, że w kominie jednego z domów utkwiał słomkowo-złoty zderzak samochodu marki Breester, i teraz kołysał się wraz z każdym podmuchem wiatru, bezbłędnie wskazując, skąd wieje. Ha! Twórcza destrukcja!

W kieszeni marynarki namacałem kasety, którą parę dni temu wręczył mi Heniek. Jak się nazywał ten szajbus? Bocianiak? Bociniak? A, Boćko! Wrzućmy go na warsztat... Chyba nic więcej mi się dziś już nie spełni.

Ruszyłem.

Za szybą przesuwiał się powoli krajobraz spustoszenia.

Heniek miał rację.

To był kawałek naprawdę ładnej muzyki...